



№ 49.

Prenumerata w Warszawie:
rocznie rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2,
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 5 grudnia 1868 r.

Prenumerata na prowincyi i w ce-
sarstwie w osobnych kopertach:
kwartalnie rs. 3 1/2.

TOM II.



Dojeżdżacz ukraiński. (Kopia z akwareli Kossaka, znajdującej się na wystawie warszawskiego Tow. zachęty sztuk pięknych.)

Treść numeru. Dojeżdżacz ukraiński (drzeworyt). — Od Redakcyi. — Kronika tygodniowa. — Przegląd polityki zagranicznej. — O sztuce w starożytnej Grecyi. — Rysunki humorystyczne (drzeworyt). — Typy i postacie ludowe (drzeworyt). Kościół św. Anny w Krakowie (drzeworyt). — Mąż upatrzony, powieść z życia w dwóch częściach, p. Jana Zacharyasiewicza (dalszy ciąg, z drzeworytem). — Szachy. — Rebus. — Z dziedziny malarstwa i rzeźby (dokoń.) — Uroczą, powieść przez T. T. Jeża (dalszy ciąg). — Dodatek nadzwyczajny: Tajemnica miasta, powieść przez F. W. Hackländera (d. c.)

OD REDAKCYI.

Tygodnik Ilustrowany wychodzić będzie i nadal, w tym samym jak dotąd zakresie i kierunku.

Oprócz artykułów stanowiących oddawna stałe rubryki Tygodnika, przygotowane mamy do druku na rok 1869 następujące utwory beletrystyczne większych rozmiarów:

J. I. Kraszewskiego „Pamiętnik Mroczka.“ Powieść w jednym tomie.

Wincentego Pola: „Obrazy z życia i natury.“ Część 5-a, 6-a i 7-a.

Elizy Orzeszkowej: „W klatce.“ Powieść w dwóch częściach.

J. Zacharyasiewicza: „Mąż upatrzony,“ (część druga).

Wł. Maleszewskiego: „Niewiara,“ komedia w 4-ach aktach, oryginalnie prozą napisana.

Włodęgo Skiby: „Edward.“ Poemat w 6-ciu pieśniach.

Do dodatku zaś nadzwyczajnego: *Filipa Galena* „Czarodziejka z Argentières,“ powieść w jednym tomie (przekład z niemieckiego).

Oprócz tego pozamawialiśmy nowe powieści oryginalne u *T. T. Jeża* i pani *Waleryi Morzkowskiej*.

Wszyscy nowoprzybywający od Nowego roku 1869 prenumeratorowie otrzymają *bezpłatnie* początek drukującej się obecnie powieści *T. T. Jeża* p. t. „Uroczą,“ oraz te nadzwyczajne dodatki, w których mieści się powieść *Hackländera* p. t. „Tajemnica miasta.“

Nadto wydawca Tygodnika, nabywszy znaczną ilość egzemplarzy znakomitego dzieła *J. I. Kraszewskiego* p. t. „Kartki z podróży“ (in 4-o str. 487) wydanego nakładem *G. Sennewalda*, na pięknym welinowym papierze, z wytwornymi drzeworytami, którego cena katalogowa jest rs. 7 kop. 50, — oddaje takowe dla *wszystkich* prenumeratorów naszego pisma, w Warszawie za rs. 3, na prowincyi za rs. 3 kop. 50, pragnąc tym sposobem nastęrczyć im sposobność taniego nabycia dzieła niepospolitej wartości literackiej i artystycznej, mało dotąd rozpowszechnionego, z powodu głównie wysokiej jego ceny.

Przedpłata na Tygodnik Ilustrowany, pomimo iż ostatnie rozporządzenie Departamentu pocztowego nowe i bardzo znaczne na wydawcę wkłada ciężary, pozostaje ta sama jak dotąd, a mianowicie:

W Warszawie:

rocznie	rs. 8 kop. —
półrocznie	„ 4 „ —
kwartalnie	„ 2 „ —
miesięcznie	„ — „ 67 ¹ / ₂

Na prowincyi i w cesarstwie, w osobnych kopertach opieczętowanych:

rocznie	rs. 14 kop. —
półrocznie	„ 7 „ —
kwartalnie	„ 3 „ 50

Prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy, stacye i ekspedycje pocztowe. Szanowni więc Prenumeratorowie raczą wcześniej zgłosić się z zamówieniami do najbliższej stacyi, albo wprost do kantoru wydawcy: ulica Nowolipki Nr. 2406;

od pośpiechu bowiem w tej mierze zależeć będzie głównie regularny odbiór pierwszych numerów Tygodnika z przyszłego kwartału.

Kronika tygodniowa.

Pani *Modrzejewska* już wyjechała.

Notujemy ten fakt, jako zajmujący dość ważne miejsce w obecnej kronice Warszawy.

Rzeczywiście przyjazd pani *Modrzejewskiej* i pobyt jej u nas był prawdziwym wypadkiem. Jakiś sympatyczny prąd ogarnął mieszkańców naszego miasta, każdy pragnął ujrzyć tę młodą artystkę, która grą swoją odżywiła tradycyą dawnych tryumfów *Truskolaskiej*, *Leduchowskiej* i *Halpertowej*.

I wszystkie sfery uległy temu wpływowi. Tym razem krzesła jednogodnie połączyły się w oklaskach z paradysem i galeryą, i teatr, zgalwanizowany tym technieniem artystycznym, odzyskał dawny swój powab, który osłabł był od pewnego czasu.

Nietylko teatr, ale i koncerta korzystały z tego przywileju napelniania sali, jaki sama wieść spółdziału pani *Modrzejewskiej* posiadała. A z uczynnością serdeczną, która jest przymiotem każdego prawdziwego talentu, pomimo znużenia wynikłego z tak częstych występów, nie odmawiała ona żadnej prośbie, uwieńczywszy zaszczytnie ten szereg tryumfów udziałem jaki wzięła w przedstawieniu daném w zeszłą sobotę w Wielkim teatrze na korzyść warszawskiego Towarzystwa dobroczynności. Na widowisku tém wypowiedzenie przez panią *Modrzejewską* ślicznych wierszy *Lenartowicza*, posiadających tyle rzewności, przy niezrównanej prostocie, taki urok rzuciło na Warszawian, iż zdawało się że za wyruszającym w drogę wagonem odezwały się okrzyki „Wiochna,“ któremi słuchacze dopominali się u artystki o ponowienie uczty poetycznej, jaką ich udarowała przy pierwszym wypowiedzeniu tego poematu.

* * *

Odjazd pani *Modrzejewskiej* pozostawił swobodne pole nowym sztukom, które dotychczas, skutkiem występów tej artystki w gotowych i z góry zapowiedzianych rolach, musiały być trochę na bok odsunięte.

A wiadomo nam że spora ich liczba czeka na swoje kolej.

Koncerty dotrzymują także placu i dość im się szczęści jakoś. Do najpoważniejszych występów w tej krainie harmonii zaliczyć należy koncert pana *Wieniawskiego*.

* * *

W gmachu Towarzystwa Dobroczynności odbywają się ciągle próby teatru amatorskiego, chociaż niewiadomo nam czy przedstawienia (a bywa ich tam trzy do czterech) rozpocząć się będą mogły przed świętami.

Na to widowisko wybrano komedią „Państwo *Staruszkiewiczów*“ i niegrane tu jeszcze komedye oryginalne „*Pokusa*“ hrabiego *Koziebrodzkiego* i „*Lekarstwo*“ *Zofii Mellerowej*. Oprócz tych trzech sztuk, wspomniano nam o jakiejś niespodziance, nie jesteśmy jednak upoważnieni wydawać tajemnicy.

To jednak nie jest już tajemnicą, że zasłużony podwójnie scenie nasz dyrektor *Jasiński* podjął się kierunku artystycznego tego zaimprovizowanego teatryku. Jest to już niezawodną prawie wróżbą powodzenia, mnóstwo bowiem przykładów moglibyśmy stawić na dowód, jak przeważny wpływ wywierają rady i nauki tak doświadczonego kierownika. Wiadomo pomiędzy innemi, że jego głównie staraniem dzisiejsza scena krakowska zawdzięcza świetny względnie stan w jakim się obecnie znajduje. On uorganizował tę scenę, wprowadził ją w ruch i nastęrczył swobodne pole działania kilku odznaczającym się indywidualnościom artystycznym, których sławę wsparła zaszczytnie pani *Modrzejewska* wystąpieniami swojemi na warszawskiej scenie.

Tutaj także należy się uznanie zasłudze p. *Checińskiego*, reżysera dramatu i komedyi teatrów warszawskich, przez kilka bowiem lat mając sobie

powierzoną opiekę artystyczną nad amatorskim teatrem Dobroczynności, starannie i sumiennie zawsze wywiązywał się z tego trudnego zadania. Obecnie zmuszony poświęcać cały swój czas artystycznemu kierunkowi scen teatrów Wielkiego i Rozmaitości, pan *Checiński* nie mógł już podjąć takiemu podwójnemu ciężarowi. Z żalem więc przyszło mu się cofnąć od wprowadzenia w ruch teatru amatorskiego.

Nie wątpimy jednak że teatr ten, pod opieką p. *Jasińskiego*, usłwienni powodzeniem usiłowania członków Towarzystwa i amatorów, którzy chętny udział w nim przyjęli.

* * *

Niedawno gazety donosiły o jakiejś dziewczynie we Francyi, która spała ciągle, jeżeli nas pamięć nie myli, przez trzy czy cztery tygodnie, budząc się tylko chwilami dla przyjmowania pokarmu i napoju i zapadając znowu w sen głęboki.

Przypadłości tego rodzaju nie są bezprzykładnemi i nauka kilka ich wskazuje.

Ale u nas w innym zupełnie wypadku znajduje się pewien pan, który upewniał nas, że od trzech miesięcy prawie nie zmrzył oka.

Zresztą wyjątkowe usposobienie nie wpływa zupełnie na stan zdrowia tego pana; warunki życia do których jest przyzwyczajony, oprócz snu, nie zmieniły się bynajmniej, apetyt ma jak zwykle i może nawet bez wielkiego utrudzenia oddawać się czynnościom, wymagającym pewnego umysłowego wysiłku.

O zwyczajnej porze, boć dawniej miał i sen dobry, antymorfeista ów kładzie się do łóżka i w niem przeleży do rana, a ten wypoczynek, lubo nie jest snem, znaczną sprawia mu ulgę.

Pewien zmarły już literat chorował peryodycznie, przynajmniej jak sam to opowiadał, na taki brak snu, co wcale również nie wpływało na zmniejszenie sił lub naruszenie ustroju jego fizycznego. Owszem, wyglądał dobrze, jadał za dwóch, a pracował za kilku, przy wielkiej, bowiem łatwości wypisania się, był to pracownik nielada, a zwykle na pisanie poświęcał nocę, pijąc ciągle herbatę, co może wpływało na ów stan wyjątkowy w jaki zapadał. To pewna, że po jakimś czasie sen mu wracał w najlepsze, a przyzwyczajony do późnego kładzenia się, odsypiał potem z lichwą przez połowę dnia szczyrby w spoczynku nocnym wyrządzone.

* * *

Jeden z najznakomitszych artystów dramatycznych, jakich w całym przebiegu dziejów swoich scena polska posiadała, *Bonawentura Kudlicz*, dziwną miał manią.

Był to człowiek bardzo czynny, pracując bowiem niezmiernie jako artysta w każdej prawie poważniejszej sztuce występujący, piastował zarazem urząd reżysera teatru, który, jak wiadomo, nie jest wcale synekurą, a oprócz tego trudnił się kształceniem młodych artystów, którzy później wstępując w jego ślady, stawali się bardzo użytecznymi tutejszej scenie.

Kudlicz więc nie potrzebował przechwalać się pracą, skutki jej bowiem były widoczne i każdy mógł się o nich przekonać, pomimo tego zwykł był utrzymywać, iż rozliczne zatrudnienia sceniczne tyle mu czasu zajmują, że się zupełnie prawie od spania odzwyczaił i żadnej mu to różnicy nie czyni.

Nie wierzono jakoś temu, domowe bowiem plotki twierdziły, że *Kudlicz*, tak jak każdy inny śmiertelnik, odsypia swoje porę i cieszy się nawet snem dość twardym.

Dwóch zażyłych przyjaciół *Kudlicza* postanowiło przekonać się o tém. Wybrali się oni na wycieczkę wiejską o kilka mil za Warszawę, zaprosiwszy i *Kudlicza* do towarzystwa.

Ale ponieważ artysta twierdził, że musi grać wieczorem w teatrze, następnie zaś ma kilkogodzinną pilną pracę, stanęło na tém, że zrana zajędzie po niego bryczka pocztowa, która dowiezie go do miejsca przeznaczenia.

Tylko „zrana,“ wyraz to bardzo giętki. Co dla jednych jest ranem, dla drugich może być jeszcze nocą, i nawzajem. Przyjaciele więc *Kudlicza* obstawiali bryczkę o trzeciej godzinie z rana, przyka-

zując pocztylionowi, żeby stanawszy przed domem w którym artysta mieszkał, zatrąbił kilka razy, bo na ten znak ów pan który ma jechać zjedzie zaraz i siądzie do bryczki.

O umówionej godzinie pocztylion stanął z bryczką przed domem i zaczął trąbić.

Echa trąbki rozległy się po całej ulicy, a ponieważ to było porą letnią, więc już switało i kilka głów ciekawych, zaspanych wyjrzało z łuczków, dla dowiedzenia się co znaczy ten gwałt pocztylionowski. Ale okna mieszkania Kudlicza, dla którego właśnie przeznaczoną była ta serenada, pozostawały hermetycznie zamknięte.

Trwało to kwadrans, i drugi, i trzeci. Dzień się zrobił na dobre; słońce oświeciło pocztowego automedona i jego zasypiające już z nudy szkapy; upłynęła piąta, a w mieszkaniu artysty żadnego ruchu czuć nie było.

Właśnie wówczas stróż nocny schodził ze swojego stanowiska.

Pocztylion zrozpaczony powierzył stróżowi konie i bryczkę do pilnowania, a sam poszedł się do drzwi dobijać.

Po długim pukaniu otworzono nareszcie.

Trzeba było zbudzić zasnętego lokaja Józefa i panią Józefową, która niebardzo uprzejmie przyjęła te ranne odwiedziny i po dość długich pertraktacjach ów opiekun (jak sam się nazywał) Kudlicza zgodził się nareszcie wejść do pokoju pana i wyrwać go z objęć Morfeusza.

Bo trzeba wiedzieć, że chociaż odgłos trąbki całą zbudził ulicę, Kudlicz spał jak zabity i dopiero teraz z zadziwieniem ujrzał przy swoim łóżku pocztyliona, wyrzekającego że umówiona godzina dawno już minęła.

Nie potrzeba dodawać, że ten sen kamienny człowieka żalącego się na bezsenność, stał się potem ulubionym polem zaczepki i przesładowań przyjaciół i znajomych Kudlicza, którzy tym sposobem mścili się za jego zbyt ostre czasami docinki.

* * *

Otrzymujemy z Płockiego następującą korespondencję.

„Więcej jak od roku ludzie mieszkający w moim prowincjonalnym zakątku, zwracają bardzo często oczy w obłoki. Nawet mądry Jasiek, idąc na mszę do kościoła, zamiast patrzeć drogi, zwrócił wzrok ku górze i utkwiał nosem w piasek.

Powód tego niezwykłego popędu do obserwacji astronomicznych jest następujący.

Dwie wsie otoczone znacznym łąk obszarem, a tęp samém i wyziewami z tych łąk wznoszącemi się, przed niedawnym czasem były świadkami dość niezwykłego, zwłaszcza w naszych stronach, zjawiska.

Wieś Gałuszyn, odbita na obłokach, dała się widzieć wsi Sławęcino w przeciwnnej stronie, a to bardzo wyraźnie i ze wszelkimi szczegółami. Działo się to w bliskości miasta Bieżunia.

W tymże samym prawie czasie nadeszła wiadomość z miasta Przasnysza, że tam ujrzano w obłokach jakby część morza i płynący na niem okręt z rozwiniętymi żaglami.

Odtąd pocziwemu ludkowi zdaje się, że widzenia te koniecznie powtórzyć się muszą, chociażby pod innemi kształtami, i kto żyje patrzy w górę. Nawet roboty ucierpiały przez to, gdyż pracujący w polu lub koło domu ciągle mają uwagę zajęta spodziewaniem zjawiskami powietrznymi i lękają się żeby nie uniknęły ich uwagi.

Obok tego istnieje tu mniemanie, że ci którzy nie zdołają dojrzeć tych fenomenów niebieskich, znajdują się w śmiertelnym grzechu; każdy więc z dobrych ludzi, nie chcąc uchodzić za grzesznika, twierdzi że widzi to, o czém drugi mu powiada, chociaż już ani śladu zjawiska powietrznego niema.“

* * *

Wypadało mi dość często odbywać po Wiśle podróż pomiędzy Warszawą a Płockiem. Ile razy w tej wędrowce zdarzyło się parowcowi na którym jechałem zasnąć po piasku, albo przykro zgrzytnąć po kamieniach, tyle razy, gdybym miał skrzydła, uniósłbym się w górę, żeby mu ulżyć ciężaru.

Brak wody mówią. Ależ niebrak jój właściwie, bo szeroko rozlewa, brak tylko pogłębienia koryta.

Wszak przy budowie mostu stałego znaleziono zatopioną na trzy łokcie pod piaskiem pszenicę, co oczywistym jest dowodem, że zasypane dno rzeki pogłębienia wymaga.

W sąsiednich Prusach, jeżeli się kępka piasku na Wiśle ukaże, zaraz umyślnym przyrządem zabięrają ją na statek i odwożą tam, gdzie nizki grunt sztucznego nasypu potrzebuje.

We Francji spuszcza się rzeki broną żelazną i tę wiodą statkiem do ujścia w morze, gdzie poruszony piasek z wodą odpływa.

Ten ostatni sposób czyszczenia koryta rzeki, możeby się i na naszej Wiśle przydał.

Pozostawiam wypowiedzenie o tęp ostatecznego zdania ludziom kompetentnym, których uwagę niewątpliwie zwrócić już musiało coraz wzmagające się utrudnienie żegluga na Wiśle.

* * *

„Wszystko u nas podnosi się w cenie, pisze do nas jeden z korespondentów. Robotnik drogi, to prawda, ale ziemia tańsza w ogólności, zatem i gлина tańsza.

Czemuż więc przypisać że cegła tak droga?

Niechajżeby zresztą i wzrastała w cenie, byle trzymała się w swoim wymiarze, jak tego chcą przepisy.

Nie wiem wprawdzie jak się u was koło Warszawy dzieje, ale u nas różnie bywa. Tu zdarzy się cegła niezwykle płaska, bo się Wojtkowi ta forma *zdała*; tam znowu krótka i wązka, bo taką formę najemnik Franek sobie wyrobił, a wszystko to razem po wyrobieniu surówki idzie w piec, gdzie przy ułożeniu i wyjmowaniu miesza się jedno z drugim.

Następnie kupujący zwozi cegłę do użytku i dopiero mularz, nie mogąc jednej z drugą jak należy spojć, klnie na czém świat stoi.

Drobna to niby okoliczność, ale dotkliwie uczuć się daje.“

* * *

Kwestya kuchen ludowych, którą pan Makowiecki z tak istotną znajomością rzeczy rozwinął w piśmie naszym, coraz więcej zaczyna zajmować ogół. Dzienniki piszą o niej, z różnych stron odzywają się zdania, na których starciu rozjaśnienie przedmiotu zyska niemało, a co najważniejsza, że w obu Kurykach otworzono osobną rubrykę na zbieranie składek, dla uzyskania początkowego funduszu; rzecz cała bowiem, jak to już czytelnikom naszym wiadomo, dałaby się osiągnąć niewielkim stosunkowo wysiłkiem.

W Przeglądzie tygodniowym, który jeden z pierwszych tęp kwestyą poruszył, także czynią się pod względem zbierania funduszy starania.

Spodziwać się więc należy, że przy zjednoczeniu tych wszystkich zażnych usiłowań, potrzebna kwota wkrótce zebrana będzie, a tutaj może najwłaściwiej da się zastosować owo łacińskie wyrażenie: „bis dat, qui cito dat“ — rozpoczęła się już bowiem zima i wróżą nam ją ostrzejszą niż w zeszłych latach, a w mieście naszym wiele znajduje się ubóstwa łaknącego ciepłej i zdrowej strawy, która w porze obecnej prawdziwém staje się dobrodziejstwem. Zaczniemy więc choćby z małym, byle tylko dać pierwszy popęd, a reszta, przy opiece Bożej i współdziałaniu dobrych ludzi, sama się złoży.

* * *

Uszczupła się coraz bardziej nieliczny szereg pracowników na polu piśmiennictwa i nauki. Dnia 30 z. m. umarł w Poznaniu w sile wieku, bo w 53 roku życia, Hipolit Cegielski, mąż zasłużony w dwóch całkiem odmiennych kierunkach działalności, bo z jednej strony jako profesor i pisarz, z drugiej jako przemysłowiec i kierownik wzorowej fabryki machin rolniczych. Obszerniejszy jego życiorys, wraz z wizerunkiem, wkrótce podamy.

Przegląd polityki zagranicznej.

4 grudnia.

Wspominaliśmy już niejednokrotnie o usiłowaniach stronnictwa krańcowego w Rumunii, mających na celu utworzenie wielkiego dako-rumuńskiego

państwa, kosztem Turcy i Austrii. Naczelnym promotorem tęp idei był, według zapewnień wielu dzienników, sam prezes gabinetu rumuńskiego, p. Bratiano. Otóż telegram przyniósł nam nową niespodziankę: p. Bratiano, któremu niedawno jeszcze sam gospodar szczodre a publicznie udzielał pochwały, otrzymał uwolnienie od obowiązków ministerjalnych. Ten nagły zwrot polityki księcia Karola przypisują dwóm powodóm: jedni utrzymują że dymisya p. Bratiano nastąpiła w skutek zaleceń wprost z Berlina otrzymanych, drudzy że książe Karol uląkł się odpowiedzialności w obec Francyi, Anglii i Austrii, mocno na jego rządy rozgniewanych. W każdym razie zaznaczyć należy, że większość dzienników zagranicznych sądzi, iż porozumienie się tych trzech mocarstw wpłynęło na postawę Prus, sprzyjających serdecznie Rumunii, stawiających jednakże wyżej własny interes — jedność Niemiec, któraby przez drażnienie mocarstw zachodnich narażoną być mogła na szwank. Jour. des Deb. idzie dalej jeszcze w swych przypuszczeniach. Według tego dziennika, Francya i Austrya, przy pomocy Anglii (t. j. nowego gabinetu Clarendona), wznowią kwestyą kongresu, którego zadaniem będzie uświścić traktat pragski. Tym sposobem, utrzymując status quo, Europa zażądałaby od Prus uszanowania linii Menu, pod zagrożeniem casus belli w razie jój naruszenia. Wszystko to rzeczywiście pięknie brzmi na papierze i nie jest zupełnie niemożliwym, wątpić atoli się godzi, czy Prusy zechcą zrzec się swego narodowego programu.

Posiedzenia sejmu berlińskiego odbywają się bez przerwy, a hr. Bismarck, pomimo zapowiedzi, nie przybywa. Mówią że ten mąż stanu jest rzeczywiście chorym i uda się na całą zimę do krajów południowych. Z Austrii, a mianowicie z Galicyi, od dni kilku zatrażające nadchodzą wieści o kopalniach soli w Wieliczce, którym nagły wybuch wody podziemnej grozi zupełnym zalaniem.

Z Hiszpanii coraz gorsze wiadomości. Pomimo szumnych mów i deklamacyj Prima i Serrana, stronnictwo republikańskie coraz bardziej bierze górę. Skarb w oplakany znajduje się stanie, a zaprojektowana pożyczka 200 milionów skudów wcaleby się nie udała, gdyby Rotszyld nie zaforszował stu milionów franków. W takim stanie rzeczy znowu przemawiają za kandydaturą Espartera do tronu, lecz idea ta nie podoba się Primowi, pragnącemu pierwszą odgrywać rolę. Sądzą więc niektórzy, że forma republikańska, jako tymczasowe przejście, utrzyma się w Hiszpanii i że Prim zapragnie odegrać rolę pierwszego jój prezydenta. W Anglii wybory wypadają wciąż na korzyść stronnictwa liberalnego. Upadek gabinetu Israelego uważają za niewątpliwą.

Ostatnie depeze: Londyn, 3 grudnia. Dziennik Globe zapewnia, że gabinet Israelego dziś jeszcze poda się do dymisyi, w przewidywaniu porażki w kwestyi kościoła irlandzkiego.

Londyn, 4 grudnia. Gabinet podał się do dymisyi. Królowa zaważwała p. Gladstone do Windsoru.

Paryż, 4 grudnia. Wczoraj na cmentarzu Montmartre zebrały się liczne tłumy. Policya wezwała lud do rozejścia się i w skutek oporu, dokonała licznych aresztowań. Miasto Paryż spokojne.

Berlin, 3 grudnia. Dzisiaj przybył tu hr. Bismarck.

Bukareszt, 3 grudnia. Izba deputowanych wybrała prezesa swego w osobie Jana Bratiano. Na prezesa senatu obrano Mikołaja Golesco.

(W. T. B. Ind. Bel. Schl. Ztg. Jour. des Deb. France).

O SZTUCE W STAROŻYTNEJ GRECYI.

Z powodu dzieła Józefa Kremera: „Grecya starożytna i jój sztuka, zwłaszcza rzeźba.“

przez

Kaźmirza Kaszewskiego.

Spojrząwszy na tytuł tęp książki, widzimy w niej ogrom wcale nieproporcjonalny do materialnej objętości dzieła, nie zawierającego nawet trzystu stron, i z góry mimowolnie budzi się w nas zapytanie,

RYSONKI HUMORYSTYCZNE

Franciszka Kostrzewskiego.

jak się autor w treści wywiąże z obietnicy tytułowej? Co mamy rozumieć pod wyrazem *Greya*? Będzie-li to życie polityczne, religijne, domowe, skrócone w całkowitym obrazie? A jej sztuka, to zapewne drugi obraz, odbicie pierwszego? A rzeźba stanowić będzie zapewne koronę tej zajmującej panoramy? Nadto z tegoż tytułu widzimy, że treść książki była przedmiotem wykładu z katedry dla młodych adeptów sztuki w Szkole sztuk pięknych w Krakowie; wypadaj więc nam i ten szczegółowy wzgląd na nią zachować? Słowem, jak autor nie bez odpowiedzialności wystąpił z podobnym dziełem przed front publiki, tak i sprawozdawca nie bez trudności wgląda w jej wnętrze, aby się w niej należycie rozpatrzyć.

Autorowi wreszcie swobodniej w duchu i lżej na sumieniu, bo choćby kto i zakrzywił palec na jego dzieło, to jemu dość odpowiedzieć: a proszę mi pokazać coś lepszego w tej materii w literaturze naszej; nie tylko coś lepszego, ale *coś*, *co* *gdź*; kiedyście w przedmiocie tym ciemni jak tabaka w rogu, bierzcie światło jakiegokolwiek, jakie wam kto szczerem sercem a wielkim przynosi trudem. Słuszność zupełna. Gdyby nie *Listy* p. Kremera, *Podróże* i obecna *Greya*, ciekawym gdziebyśmy dotąd w języku naszym znaleźli wskazówki do poznania zasad sztuki i wyrobienia sobie sądu o jej utworach? Zapomnienie o tym byłoby najsmutniejszą niedzięcznością; każdy wie, a przynajmniej wiedzieć powinien, że rozbudzenie jakiegokolwiek u nas ruchu estetycznego, datuje od pierwszego wydania *Listów* z Krakowa, w których wszystko było dla nas nowością.

P. Kremer jest więcej pracowitym i dojrzałym myślicielem, niż twórczym. Teorie swe bierze on po większej części z drugiej ręki, ale umie w nich rozróżnić ziarno od plewy, nie podaje surowizn, lecz wszystko w umyśle swym przerabia, na własność swą niezaprzeczoną zamienia i tę w kwintnej produkuje formie. Teoryj estetycznych on nie wynalazł, ale wzięwszy je od Niemców, proszę widzieć jak je samodzielnie zastosował, przy zastanawianiu się nad dziełami czy obcych, czy swoich mistrzów.

I obecne dzieło nie jest wyłącznie rezultatem jego własnego namysłu we wszystkich szczegółach, bo i czyż tu podobna nawet na własną rękę rozpoczynać badania w przedmiocie nad którym inni napisali całe biblioteki? Ale p. Kremer zna te skarby i ma prawo, a nawet obowiązek rozporządzać nimi, jakoby własnością swą, bo długą zapewne pracą przyszedł do ich posiadania.



Szczęśliwa młodość.

Przechodzień. „Chłopcze, bój się Boga! tobie zimno, a tyś w jednej koszulinie; toć zmarzniesz u licha!
Chłopak. E! gdzie tam, schowałem się za pana majstra, a pan majster w futrze, to mi zaraz ciepłej...

TYPY I POSTACIE LUDOWE.



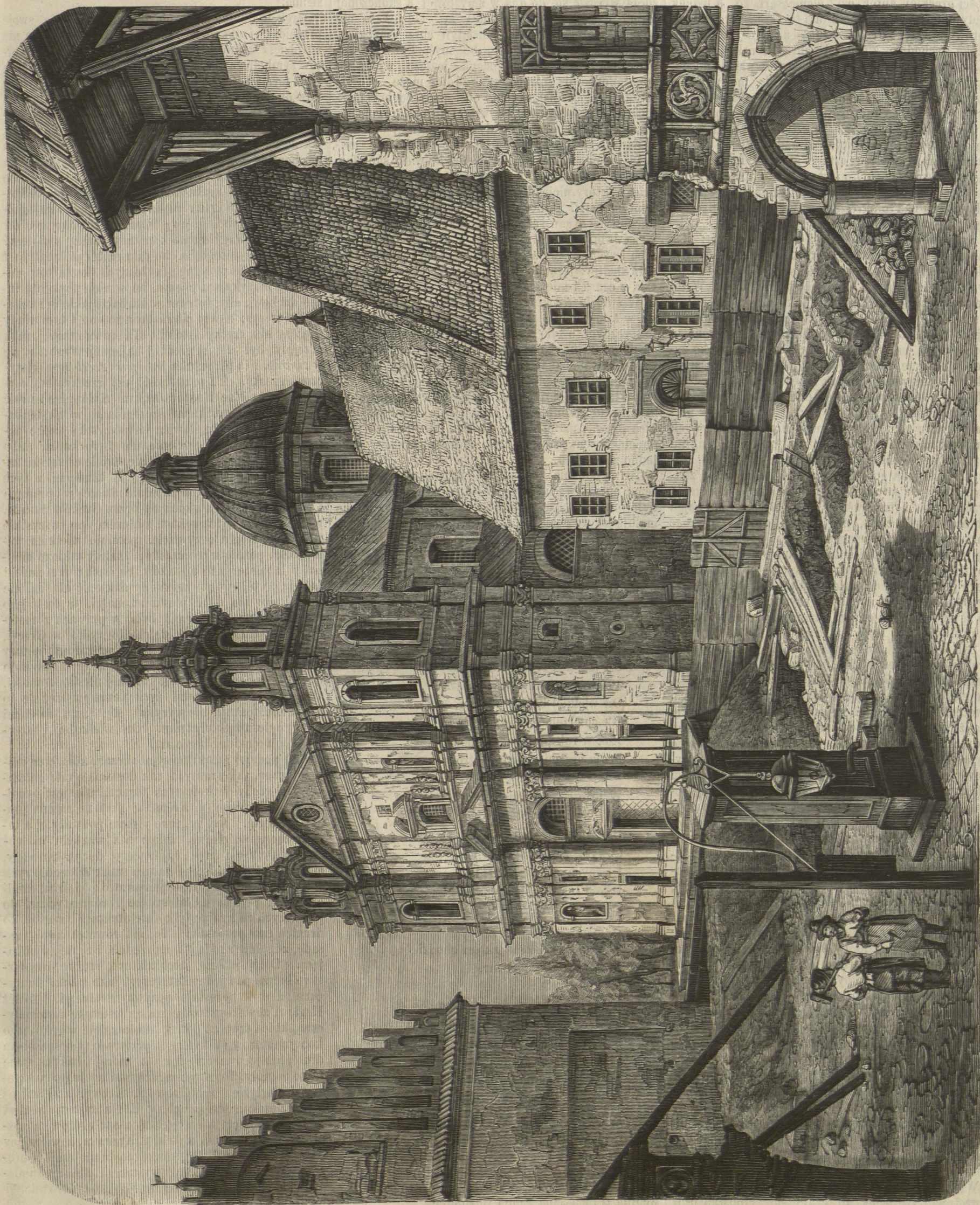
Tracze warszawscy. (Rysował z natury Gerson).

I tu naprzykład uważał on za właściwe, przed przystąpieniem do wykładu sztuki greckiej, skrócić fizyczną naturę tego gruntu, który nazywamy klasycznym, opisać dokładnie ład Grecyi, jej wyspy i półwyspy, a wreszcie dać charakterystykę kilkorga plemion, które zamalgamowały się i utworzyły wspólność jednolitą. Cóż to jest innego, jeśli nie system Rittera, reprodukujący się w późniejszych etnografach i geografach niemieckich? A jestże inny system któryby suchą nomenklaturę nazw czy to ludów, czy miejsc, zamienić mógł w umiejętną i pełną znaczenia treść, wskazującą jakie były cechy plemienne ludów, jakie warunki teluryczne ziemi, jaki ztąd powstał ogólny duch narodu w rozwoju wiekowym społeczeństw pierwotnych? Taką drogą idzie tu autor, aby nam dać wyobrażenie o ludnościach z jakich utworzyła się owa Greya historyczna, z jej mytami religijnymi, stanowiącymi główną podstawę tak instytucyj tego kraju, jakoteż obyczajów jego i sztuki, do której zmierza. A lubo opisy jego podawane są w dość szczupłych dozach, starczyć to jednak może za wstęp, a raczej przygotowanie do poglądu specjalnego na sztukę samą, która, jak się po zamknięciu książki przekonujemy, stanowi główne zadanie dzieła. Owóż w tym się jedynie zawiera to co na tytule wyrażono napisem „Greya;“ bo oprócz etnografii, inne żywioły życia, jakoto: polityka, ustawodawstwo, wewnętrzne sprawy, żadnego tu miejsca nie zajęły. Mnie się zdaje nawet, że o ile etnografia niezbędną była jako przedwstęp do sztuki, boć układ ziemi i jej warunki klimatyczne ogromny wpływ na rozwój sztuki wywierają, o tyle znów należało zrobić wybór, co z tej etnografii mianowicie pozostaje w ścisłym ze sztuką związku i na tym tylko poprzestać. Ale autor, raz zapuściwszy się w to pole, zajął się systematycznym jego obrobieniem, jakby to głównie miał na celu, co właśnie i do każdego innego celu zastosować się dało, tak iż niejednokrotnie spotykamy ustępy, ważne zapewne i interesujące same w sobie, ale związku z przedmiotem głównym w nich nie dopatrujemy. Jest to więc na tym miejscu zbytek, a jak każdy zbytek, szkodliwy, bo zaprzęta mniej potrzebnie myśl, która i bez tego na właściwej drodze będzie miała dosyć do czynienia. Cały słowem ten pierwszy dział, jak na rozprawę o Grecyi, jest zaszczupły, zamałostronny; jak na przedwstęp do rozprawy o samej sztuce, zadługi, zawiłostronny. Przytęm i ład w nim niekoniecznie wzorowy, tak że nie mogliśmy należycie usprawiedliwić sobie kolei przedmiotów. Po ogólnych uwagach

o potrzebie badania Grecji starożytnej, autor, jakby na usprawiedliwienie tego co mówi, przedstawia jej wysokie stanowisko cywilizacyjne, w którym to przedstawieniu już zawiera się mnóstwo rzeczy, na

już rozwiniętego, bez jakiegoś ścisłego ogniwa. Ztąd też nietylko pamięć nie może chwycić, ale i nawet umysł zdać sobie sprawy należycie z całości nie zdoła, i uważa ten dział jakby za szereg artykułów lu-

wie ziemi greckiej, o cielesności Greków, o stanowisku kobiet, o wyrabianiu się równowagi i harmonii tak w szczepach pierwotnie zaludniających kraj, jako i w telurycznych warunkach; pragnęlibyśmy byli



Kościół św. Anny w Krakowie. (Rysował z natury Gryglowski)

jakie miejsce właśnie w działach późniejszych, więc oczywiście trzeba się zsyłać i powtarzać. Następnie dopiero mówi o ludnościach i ich stosunku do ziemi, i znowu naprowadza na punkta społeczeństwa

żnych. Ztém wszystkiém nie możemy zaprzeczyć, że nie zamieścił tu autor niczego, coby nie miało swojego odpowiednika w dziełach wyłącznie poświęconych sztuce, jak na przykład ustępy o plastycznej budo-

tylko takiego zestawienia i obrobienia, któreby nam nie pozwalało zapominać o ciągu i o tém że jesteśmy wciąż w atmosferze sztuki.

Właściwa teoria estetyczna zaczyna się dopiero

w dziale trzecim, noszącym nazwę: „Ogólna charakterystyka aryzmu greckiego.“ Dział ten wychodzi zwycięsko ze swego zadania. Ażeby dać jasne wyobrażenie o tém, jakie jest mianowicie znamię twórczości greckiej, autor użył elementarnego, a jednak nigdy nie spożytego sposobu, to jest porównania. Porównywa też grecką sztukę z jedną stroną ze sztuką wschodnią, z drugiej z chrześcijańską. W sztuce wschodniej treść albo jest tak szczupłą i ubogą, że ją pod formą dostrzedz zaledwie można, albo przeciwnie licha jakaś forma dźwiga obszerną abstrakcją; dość że tam treść z formą nie splata się w nierozłączną jedność. W sztuce chrześcijańskiej treść rozsadza formę „wykipia nad nią,“ jak się dosadnie wyraża autor; w sztuce greckiej forma z treścią się równoważy. Oto jest myśl około której głównie kręci się ten dział, a nie trafniejszego i prawdziwszego nad to określenie. Jak to zaś i dlaczego się dzieje, zobaczmy zaraz.

Świat wschodni jest wskróś panteistycznym; idea panteistyczna unieważnia wszystkie jednostki, wszystkie całości i odnosi je do jedyne go bytu, do jedynej całości w sobie, którą jest niby Bóg. W tej idei, jak wszystko co istnieje, tak i człowiek nie jest w sobie osobą samoistną, ale czegoś tylko ułamkiem, a jako ułamek, nie może wyrazić nic skończonego, żadnej myśli pełnej. Ten tedy człowiek, jako żyjący w naturze, czuje się tylko tej natury częścią, nikłym i przemijającym jak innej zjawiska; i gdzie takim człowiekowi myśleć o nieskończoności, która jest zasadą sztuki, jako przedstawicielki w materii skończonej i ograniczonej, idei nieograniczonych i nieskończonych? Dalej jeszcze człowiek ten, nie rozumiejący siebie samego, nie rozumie i całej rzeczywistości jaka go otacza; nie pojmuje on ani znaczenia dziejów swojego kraju, ani nawet znaczenia przedmiotów natury wśród której żyje, i, używając ich na potrzebę ciała, nie potrafi z nich wyciągnąć korzyści na rzecz własnego ducha. „Tak tedy, że się wyrażymy słowami autora, temu staremu Wschodowi z jednej strony braknie treści, to jest duchowego pierwiastku dla dzieła sztuki, a z drugiej strony braknie mu pierwiastku czynnika zmysłowego, bo zewnętrznego kształtu, mającego urzeczywistnić, uzmysłowić ową treść duchową.“

Syn Wschodu, mało ważąc siebie samego, jako drobny ułamek natury, ze szczególnym poszanowaniem i grozą zapatrywał się na tę naturę, jako na ogół sił, i tego zapatrywania się jego jedynym owocem były oderwane pojęcia jej praw, jako: rodzenia, żywienia, płodności, śmiertelności i t. p. Jeżeli tedy czuł się pobudzonym fantazją do zmysłowego wyrażenia jakiegoś z tych praw, to zamiast uzmysłowić pojęcie sposobem wynalezionym w geniuszu własnym, zamiast stworzyć sobie jakieś choćby bóstwo, jak Grek, — ów wychowanek panteizmu nie mógł wyprowadzić z własnej fantazji jakiejś osobnej jednostki po za granicami natury, ale w niej samą wyszukiwał jestestwa, któreby mu najlepiej nadawało się do wyobrażenia jednego z tych pojęć oderwanych. Otóż wynalazł jakieś zwierzę, jakąś roślinę, i tę wystawił za symbol pojęcia. Ztąd też sztuka wschodnia jest czysto symbolistyczna. Krowa na przykład u nas znaczy poprostu krowę i nic więcej; krowa na Wschodzie była artystycznym wyobrażeniem płodności. Jakież to niskie i niedostateczne! I któż, niewtajemniczony w tę konwencję, może odgadnąć co ten wyraz oznacza? Wszak sztuka jest wyrazem wszechświatowym, jej język przemawia do imaginacji i serca zarazem; a zimny ten symbol czyż może mieć takiego języka przymioty? Nadto w przedmiocie symbolicznym jest wprawdzie jakaś jedna własność odpowiadająca danemu pojęciu, ale obok niej są i inne własności, z tém pojęciem nie mające żadnego związku; więc to jest nadmiar formy względem treści, w którym treść ginie prawie całkowicie, jak jednostka w idei panteistycznej. Otóż fantazja, która symbolów używa za swe wyrazy, nie może stworzyć sztuki w całym znaczeniu.

W świecie chrześcijańskim rzecz się ma zupełnie odwrotnie. Człowiek tu czuje się jednostką osobną, osobą wolną i odpowiedzialną; wiara wskazuje mu w przyszłości nawet żywot oddzielny i nieskończony; on siebie ma za środkowy punkt całej przyrody, za jej najwyższe zrealizowanie, nie tylko za część, a dopióróż duch jego jak nie ma granic dla

swych badań i pragnień, tak nie ma końca bytu. To też tu treść wewnętrzna ducha, wiarą chrześcijańską zrodzona, tak jest spirytualną i nieskończoną, tak nieskończenie wzniesioną nad świat materii, iż nie zdoła wyrazić się do dna w zmysłowej a skończonej formie dzieła sztuki: rozsadza ją. Gdzież to nie strzelają gotyckie wieżycy świątyni chrześcijańskich, a jednak zawsze im zamało, bo myśl która je wprowadza ku wyżynom, sięga jeszcze wyżej po przedmiot swój, którego znaleźć nie może. To też sztuka chrześcijańska rychło odstępkuje od brył ciężkich, człowiek zwraca się więcej ku sercu swojemu, w którym Boga swego, ideały swoje, jaśniej widzi niż w naturze, i fantazja jego łatwiej wylęwa się muzyką i piением. Ale i te formy, jakkolwiek subtelne, jeszcze nie starczą subtelności ducha chrześcijańskiego, który niejednokrotnie też zamyka się w cichej kontemplacji. Owóż fantazja chrześcijańska, pełna duchowych drgań i serdecznych zapałów, wybiegająca po za świat i formy, przybrała w estetycznych utworach swych nazwę sztuki *romantycznej*, nazwę niesprawiedliwiającą się naturą rzeczy, ale wynikłą ot tak, z czasu i miejscowości.

W świecie greckim duch i materia równoważyły się w samą miarę. O ile świat wschodni był panteistycznym, o tyle grecki był antropomorficznym; on utworzył bogi na obraz i podobieństwo swoje. Człowiek tam uznał się osobą jednostkową i samodzielną, oddzielił się od natury, nietyle jednak aby wyparł się w sobie jej praw i wypowiedział im wojnę; przeciwnie, zdobił swego ducha, ale bez krzywdy tych praw, uznawał ich godność i niezłomność, jednym słowem równoważył, zharmonizował w sobie jedno z drugim.

To wylamanie się z pod jęctwa natury, któremu ulegał Wschód, tę równowagę z nią, która była prawem życia greckiego, wybornie zda mi się malują strofy jednego z chórów *Antygony* Sofoklesowej, które tu niech nam będzie wolno we własnym naszym przekładzie przytoczyć:

„Wiele jest dziwów, a przecie
Człowiek, największy dziw w świecie.
On to w siną głębię mórz
Oślepił się rzuca, nie zważa
Czy go pęd ryczących burz
Po drżących prądach wytarza.
On wielkiej bogini — Ziemi,
Nieśmiertelnej, niezmeconej,
Rok w rok pługami konnemi
Pruje brzemie w różne strony.

W jego rozstawione sieci
Ród leciuchny ptasząt leci;
Człowieka przemyślny um
Chwyta w splątane pętlice
I leśnych zwierzątek tłum
Iwów łuskate dziedzice.
Człowieka wola łagodzi
Najdziksze potwory gór,
W jego jarzmie milczkiem chodzi
I koń grzywiasty i tur.

Człowieka darem słowa grom,
W człowieku górnej myśli dom,
A w myślach swych badawczy człek
Przyszłości nawet odgadł bieg.
Ni on się zleknie mrozów tchu,
Ni ciosów gradu, ani dżdzu,
I moc choroby przed nim pada:
Z śmiercią mu tylko trudna rada.“

Jakże inaczej maluje siebie samego człowiek w tych ustępach z księgi *Vedas* (Wiedza), które tu podajemy, według tłumaczenia Emila Burnoufa:

„Ojciec tego świata, który czaruje nasze oczy, w myśli swój wyrodził wody, a następnie niebo i ziemię...“

„Człowiek działa, ale sam nie wiedząc o tém, działa tylko przez niego; on go nie widzi, ale patrzy

tylko przez niego, zawinięty w łonie swój matki, podlega on kilku narodzinom... Niebo jest moim ojcem; ono mnie porodziło. Rodziną moją jest wszystko co mnie otacza pod niebem. Moją matką jest wielka ziemia.“

Greki to dumne a swobodne usposobienie swoje przeniósł i do dzieł fantazji. W jego sztuce nie znajdziesz żadnych ciemnych i niewyraźnych kształtów symbolicznych, w którychby treść nie zlewała się z formą, ale nie dostrzeżesz też żadnych wybryków ducha, żadnego zbytku, ani we wnętrzu, ani na zewnątrz; treść owszem z formą stapia się w nierozłączną jedność, jak dwa metale w topieli ogniw, jak dusza z ciałem w naturze. Ta to równowaga harmonijna w dziełach fantazji greckiej przybrała miano piękna *klasycznego*, i klasycyzm dotąd zwie się wszystko co w sztuce miarę tę zachowuje. A któraż to znowu ze sztuk pięknych jest ta, co najdzielniej zdoła wyobrazić ową miarę i równowagę, ów ślub nierozzerwany ducha z materją, duszy z ciałem? Jużciż nie architektura, bo tam materia zbyt jest ciężką, aby nie przygnębiła lotnych kształtów ducha; nie muzyka ani poezja, bo w nich zbyt jest luzno duchowi, aby dotrwał w korbach jakie mu wskazuje materia; nawet nie malarstwo, bo i tam ułudy więcej niż rzeczywistości. Ta równowaga, jaką przejęty był umysł grecki, najlepiej wyobraża się w rzeźbie, i ta też sztuka jest *par excellence* klasyczną, grecką. Tu przestrzeń jest rzeczywistą, wymiary kompletne i naturalne, tu ciało przedstawić się może ze wszystkimi szczegółami w najdelikatniejszej postaci; tu słowem jest wszystko czego potrzeba, ażeby przedstawienie nie było kopią, albo prostą reprodukcją natury, ale dziełem sztuki zenięcej ducha z materją, nadającej każdemu z tych elementów po równym zupełnie działu w prawach i wyrazistości. Ta ukochana przez Greków sztuka, nieporównana w ich rękach z niczém po wszystkie wieki, nie mogła oczywiście, pomimo wielkich genialności późniejszych czasów, znaleźć takiego miejsca w labolatoryach mistrzów, bo duch chrześcijański już się do tej równowagi nigdy naklonić nie da, nie zezwoli aby ten duch nieskończoności, ta treść jego niematerialna, porównaną była w prawach z materją. Pojęcie to zrodzić się mogło tylko w Grecji, gdzie człowiek poczuł się w szlachetności natury swój, nietyle jednak, aby mu jego wiara ukazywała ducha w tak wielkiej i tak świetnej nieskończoności. On ledwie że przeczuwał życie pozaziemskie, ale do niego nie tęsknił, nie wyrzwał się; jemu na ziemi lepiej było niż w elyzyum. On wielkości i szczęścia nie pojmował bez ciała.

Ten podział sztuki na symboliczną, klasyczną i romantyczną, tak trafny i tak doskonale odgraniczający jej cechy w kolejnych fazach, nie jest bynajmniej odkryciem p. Kremera; jest to zasada podziału Hegla. Ten ma inne jeszcze podziały, dla innych znowu widoków. Jakoż bez względu na następstwo czasu i zasad tworzącego ducha narodów, ale ze względu na samą naturę sztuk szczegółowych w stosunku ich do owego pierwszego podziału, dzieli on sztuki piękne na klasyczne i romantyczne, do pierwszych zaliczając tylko architekturę i rzeźbę, do drugich trzy pozostałe. To ma również swoje zasadę, zupełnie zgodną z poprzednią i z niej wynikającą. Dalej jeszcze, architekturę, rzeźbę i malarstwo bierze pod jedną kategorię, jako sztuki figuralne, a dwie pozostałe nazywa idealnymi. To też Heglowi zawdzięczamy pierwszą estetykę systematyczną, która trwa aż dotąd, doskonaleje w rękę jego kontynuatorów (Vischer) i przetrwa tym sposobem dłużej niż jego metafizyka, z której dziś już same tylko popioły. To co w uwagach nad ogólną charakterystyką aryzmu greckiego p. Kremer zmieścił na kilkudziesięciu stronicach, w Heglu zajmuje ze dwa tomy, oczywiście w szerokiem i szczegółowem wprowadzeniu; ale ten wywód p. Kremera, zawierający kwintesencję myśli, poprowadzony umiejętnie a urokiem stylu opromieniony, wystarcza dla zrozumienia jak charakteru sztuki greckiej, tak i różnic jej od przyległych.

(Dokończenie nastąpi).

2234

K O B I Ę C I E.

Zasłoń, o matko, zasłoń czarną kartę
Dziejów, co głoszą twoje poniżenie,
Choćby ci nawet ukazał kto Spartę
I wód kastalskich przypomniał strumienie,
Choćby ci w oczy kto Aspazją słał,
Lub babilońską czcząc Semiramidę,
Stary Wschód w barwach palących przedstawił; —
Odwróć się matko na taką ohydę,
Bo nie człowiekiem zwano cię w te czasy;
Piękność twych wdzięków, układ twego ciała
Czarował tylko i pobudzał masy;
Nie duch tam w tobie, ale krew kipiała...
Ty, co śród świata masz być cnót podniętą,
Byłaś posągiem tylko — nie kobietą.

I na te wieki nie chciój rzucać okiem,
Co to pod maską najświętszej pochodni
Świat zalęwały ciemnoty potokiem,
By w jej głębinach ukryć widmo zbrodni.
O siostrzo moja, nie patrz na te dzieje!
Błędnych rycerzy stalowa przyłbica,
Nawet ten zapal sztuczny co z nich wieje,
I trzask ich kopij niech cię nie zachwyca.
Słabą, bez woli, oparcia i prawa,
Zwano cię panią, królową, aniołem,
O kolor szat twych wrzała walka krwawa;
Lecz chociaż tobie uderzano czołem,
Jako przed Laurą albo Juliętą,
Byłaś kochanką — ale nie kobietą.

I odwróć także lica od tej rzeszy,
Co pozbawiona piętą namaszczenia,
Sama przesadą własnych myśli grzeszy,
Siejąc dokoła nasiona zniszczenia.
Raz cię otacza blaskiem gwiazd i chwałą,
Ołtarz ci wznosi niby dla bożyszczka,
Drugi raz zdzięra z ciebie szatę białą
I pozostawia w piersi ból i zgłiszczka.
O wzgardź dziewico tym szatańskim śmiechem,
Co cię opętać chce w zdradliwe sieci,
Pogardź kadzidłem i słodkich słów echem,
Które ogniskiem błędnym tylko świeci;
W fałszywe kwiaty stroją cię — niestety!
A nam potrzeba człowieka-kobiety.

Więc śmiałem skrzydłem wzbij się nad poziomy,
Pokaż żeś nie puch marny ku zabawie,
I choć usłyszysz koło siebie gromy,
Nie drzyj, lecz z wiarą stój przy swojej sprawie.
Iskrę wszechmocy uspioną w twym łonie
Dobądź i ozdób się pięknnością ducha,
W pracę i cnotę uwieńcz sobie skronie
I przemów głośno, a świat cię posłucha.
Świat cię posłucha, ale tylko wtedy,
Kiedy na prawdzie oprzesz swoje ramie,
Kiedy cię żaden prąd wiatru nie złamie,
Gdy się nie zleknieś ubóstwa i biedy,
Gdy mniej siać poczujesz słów, a więcej czynów,
Kiedy kapłanką będziesz w każdej chacie,
Kiedy zostaniesz chlubą dla swych synów
I w niewinności ukazesz się szacie;
Kiedy ułudy blask cię nie omami
I wyraz fałszu ust twych nie zeszepeci;
Gdy zajaśniejesz takimi dziełami,
Że promień onych nas wszystkich oświeci.
O, przemów wtedy, a świat cię posłucha,
Przemów nam przedź, przedź taką mową,
Zerwij spleśniałą zasłonę z twych powiek,
Niech cię nie winią że pierś twoja głucha,
Ale witając odrodzoną, nową,
Niechaj się cieszą, że przybył nam człowiek.

Fr. Gumowski.

MĄŻ UPATRZONY.

POWIEŚĆ Z ŻYCIA, W DWÓCH CZĘŚCIACH,

przez

Jana Zacharyasiewicza.

Część pierwsza.

(Z rysunkami Antoniego Zaleskiego).

(Dalszy ciąg).

— Książkę? powtórzyłem machinalnie, bo serce moje ścisnęło się jakimś niedobrem przeczuciem.

Chciałem jeszcze o coś zapytać służącego, ale spostrzegłem, że go już w pokoju niema.

Na stole przedemną leżała tylko fatalna książka, owa cyfrowana depesza, którą się czyta: *bądź zdrow!*.... Jutro więcej, jeżeli czas i zdrowie pozwolą.

Gdy ciocia Euzebia ten list przeczytała, była nadzwyczaj uradowana. Twarz jej ożywiła się, jakby po najlepszej nowinie. Zaczęła szybko chodzić po pokoju. Często usmiechała się do siebie, a nawet nuciła sobie coś półgłosem, co nigdy nie było jej zwyczajem. Lokaj Jan i pokojowiec Józef cieszyli się, że panna Euzebia dzisiaj w tak złotym humorze.

Po południu zasiadła ciocia Euzebia do biurka i napisała do Nępcia list dosyć długi. Ubolewała najprzód, że go spotkał tak smutny wypadek, który o mało życia go nie kosztował. Dołączone było do tego małe kazanie, że nawet dla kobiety nie potrzeba tak lekkomyślnie życia narażać, gdyż to jest grzechem i tentacją Boga. Opisała mu dalej niepokój jaki panował we dworze z powodu tak długiego milczenia z jego strony, a wreszcie co do jego dzisiejszego położenia, pisała co następuje:

— „Serce moje przepelnione jest radością, że tak szczęśliwie umiałeś wzbudzić w Sydonii wzajemność dla siebie. Z tego co mi piszesz widzę jasno, a widzę jako kobieta, że Sydonia cię kocha. Być może iż ci tego długo, bardzo długo nie powie. I to nawet jest rzeczą możliwą, że zewnętrzne oznaki będą tego rodzaju, iż się na twoje niekorzyść dadzą wytłumaczyć. Ja jednak powiadam ci: nie wierz temu. Sydonia cię kocha, i to kocha, tak, jak niekiedy kobieta kochać potrafi... Poznałam Sydonię dobrze. Jest to istota wyjątkowa. Takich kobiet nie znajdziesz wiele..., a jeżeli są gdzie, to żyją najczęściej niepoznane od świata, pominięte przez ludzi. Nie szukaj ich między zastępem młodych, w kwiaty wiosenne ustrojonych. Nie szukaj ich tam, gdzie są twarze gładkie, rozkoszne, uśmiechnięte, ale raczej między temi twarzami zmiętymi, wczesnie zwiedłymi, na których możesz czytać jasno, że świat wszystko wziął od nich, a w zamian nic im nie dał... Ale widzę że zbaczam od rzeczy. Serce nie może się ukoić tak prędko, gdy o swoim bólu mówić zacznie... Sydonia kocha cię, i szczerze ci mówię, że ci tej miłości zazdroścę. Możesz się liczyć do wybranych, bo nie wszyscy dostępują takiego szczęścia. Gwiazd jest wiele na niebie, ale słońce bardzo mało. Tobie świeci słońce!... Lecz słońce ma także ruch swój własny, chociaż się zdaje nieruchome. Musi ono iść swemi torami, a ty nie powinienesz wtedy narzekać, że cię opuszczają. Ono cię nie opuszcza; przeciwnie, wiedzie cię razem z sobą po przestworzach nieba... Jak patrzącemu na słońce niebieskie wydaje się, że od ziemi ucieka i gdzieś znika, tak i tobie może się wydać, że Sydonia ucieka od ciebie, gdy tymczasem ona tylko prowadzi cię z sobą do upragnionego dla was mety... Niech cię więc nie łudzą żadne pozory, choćbyś nawet mniemał mieć dowody, że te pozory są prawdą... Spytaj się prostaczka, czy święcie nie uwierzy, że ziemia stoi, a słońce krąży po niebie? A przecież tak nie jest, są to tylko zwodnicze złudzenia. Gdyby się więc wydarzyło coś nie po twojej myśli, zaczekaj chwilę, porównaj przeszłe z doczesnym, miej wzgląd na przyszłość, a rzecz cała się wyjaśni. Słowem, spodziewam się z tego co się stało jaknajlepszych skut-

ków dla ciebie. Pisuj mi dalej o wszystkim, bo w tej sprawie tylko kobieta może ci skutecznie radzić.“

Taki był list cioci Euzebie. Wysłała go czempredź na pocztę. Radość i zadowolenie z powodzenia kuzynka, nie odstępowały jej ani na chwilę. Wieczorem żartowała z księdzem Celestynem, który cały swój dowcip w kupę zbierać musiał, aby jej podolać. Opowiadała mu o znakomitych kobietach w dziejach ludzkości. Rozwodziła się nad władzą, jaką wywierac może wyższa umysłem kobieta, nad umysłem chociażby najpięrszego bohatera. Przytaczała mnóstwo przykładów, zaczawszy od Kleopatry zielono-okiej, a skończywszy na Loli Montez. Ksiądz Celestyn mocno sprzeciwiał się takim nielegalnym wpływom, ale w końcu umilkł, bo ciocia Euzebia była dziś tak wymowną, jak uczeń uniwersytetu składający egzamin na doktora.

Już późno wieczorem wrócił posłaniec z poczty i przyniósł znowu pakiet od Nępcia.

— „Od ostatniego listu, pisał Nępcio, miałbym wiele, bardzo wiele do powiedzenia, gdybym to wszystko chciał wyrazić, com przeczuję, przemarzył i przeboleał!... Tak jest, przeboleał, bo dzisiaj, dzisiaj dopiero widzę, że miłość jest właściwie boleścią!...

Dawniej nie mogłem sobie w żaden sposób wytłumaczyć, dlaczego w wierszach miłosnych tyle jest smutku i rozpacz, tyle łez i westchnień. Myślałem że kto kocha, ten powinien być szczęśliwy.

Ale wracam do wątku, upuszczonego w ostatnim moim liście. Pisałem, że wszedł do mnie służący i przyniósł mi książkę francuską, a jednocześnie oznajmił mi, że Sydonia za pół godziny odjeżdża.

Miałem więc przed sobą książkę, odjazd Sydonii i pół godziny czasu. Na książkę rzuciłem tylko okiem i przeczytałem obojętny dla mnie tytuł. Zwróciłem myśl do Sydonii. Myśl ta była smutna i bolesna. Wprawdzie pozostawało mi jeszcze pół godziny czasu, ale nie mogłem przecie ukazać się w salonie z głową plastrami obłożoną i z twarzą na jednej stronie ze skóry odartą. Miałem w ten sposób przedstawić się odjeżdżającej Sydonii i w ostatniej chwili wyręć się w jej pamięci z czołem potłuczonym i okiem podbitym?... Jeszcze dreszcz mi przez krzyże przechodzi, gdy sobie przypomnę tę przeklętą szafę, w której zajechałem przed oczy Fipci i Bibci...

Potrzeba więc było w więzieniu pozostać i tylko uchem łowić hałas i tartas, jaki zazwyczaj przy każdym odjeździe na wsi panuje. Słyszałem ciągle suwanie kufrow po korytarzu, wołanie Jana i Michała, słyszałem pannę służącą rozmawiającą z kucharzem, który był nieco zagniewany, że panna Sydonia nie mu na piwo nie dała... Potem słyszałem turkot powozu, szelest sukni na korytarzu... wreszcie lekkie stuknięcie do drzwi, a przytém słowa: *adieu monsieur Nępcio!*...

W tej chwili zapomniałem o podbitym oku i plastrze na czole. Zerwałem się z szezlonga i cwałem do drzwi pobiegłem. Na korytarzu nie było już nikogo, tylko jakiś wonny wietrzyk przeciągał ku drzwiom głównym, prowadzącym do salonu, które tylko co zamknęła za sobą Sydonia. Za chwilę zaturkotał powóz, coraz ciszej i ciszej, przechodząc w lekki szmer, z jakim biegnie potok po złotych kamkach, lub anioł Boży, zesłany z nieba na chwilę, od człowieka odlatuje...

Wtedy wróciłem się do mego pokoiku, usiadłem na szezlongu i... płakałem!

Ży przyniosły mi niejaką ulgę. Mogłem znowu jaśniej myśleć. Odjazd Sydonii był już faktem dokonanym. Trzeba było pomyśleć nad tém, jakby ją conajprędzej znowu zobaczyć.

W tej jednak chwili przyszła mi myśl do głowy: czy ona naprawdę mnie kocha? Czy nie są to tylko marne pozory, któremi łudzę się, chciwy miłości? Na czém opierać mogę moje nadzieje?

Pytając tak sam siebie, wziąłem do ręki francuską książkę, którą mi Sydonia przysłała. Otworzyłem ją na chybił trafił. Między kartkami leżał kawałek zapisanego papieru. Był to świstek oddarty od jakiegoś listu i służył do zaznaczenia stronicy, przynajmniej na to wyglądał. Wziąłem ten świstek do ręki i zacząłem mu się przypatrywać. Był to prawdopodobnie jakiś list stary, bo wiersze i litery były poodzierane. To co zostało, brzmiało jak nastę-

puje: „Serce prawdziwie kochające jest jak woda głęboka, która raz do dna poruszona, długo, długo zatacza fale i o brzeg uderza... tylko kruchą łodzi grozi rozbicie, okręt pancerny wszystko zwalczy... Serce które kocha, nie zna pożegnania, bo osoba ukochana w niem mieszka... Uwierzy, znajdzie ślad i pójdzie za nią, choćby go droga nie prowadziła przez kwiaty, ale przez ciernie...”

Jeszcze kilka słów było na końcu, ale tych w żaden sposób wyczytać nie mogłem.

Odczytanie tych wierszy zbudziło nawał myśli w mojej głowie. Czy jest to tylko dziwny przypadek, że one tak trafiają do mego położenia? Czyż nie mogła Sydonia namyślnie ich napisać i w takiej formie dać mi do czytania? Jakież znaczenie może mieć ta książka mi ofiarowana? Dlaczego kazała mi ją dać przy wyjeździe do piéro, a nie piérwój?...
Pytania te postawiły rzecz całą w jaśniejszym nieco świetle. Wypływało ztąd, że to nie mógł być czysty przypadek.

Porwałem jeszcze raz ten świstek do ręki i zacząłem powoli sylabizować te prześliczne sentencje, które jej rączka pisała. Zatrzymywałem się długo przy każdej literce i żaluję mocno, że będąc w Berlinie, nie nauczyłem się poznawania ludzi z ich pisma. Byłbym może odgadł, co znaczy to *s* z podwójnie zakreślonym ogonkiem, to *r* dłuższe o ćwierć cala od *e*, to *g* przerywną głowę literze stojącej w niższym wierszu... Zaiście, gdybym to wszystko wiedział, byłbym dzisiaj może najszczęśliwszym pod słońcem kochankiem.

Kiedy tak sobie myślałem, usłyszałem na korytarzu kroki z dwóch stron naraz do mego pokoju zmierzające. Jedne słyhać było od gazonu, drugie od drzwi wchodowych do salonu. Prawie koło samych drzwi moich zeszły się te kroki. Był to z jednej strony jurysta, z drugiej Fredzio.

— Za pozwoleniem, chwilę czasu, rzekł jurysta.
— Jestem na rozkazy, odparł Fredzio.
— Pan pozwoliłeś sobie niedawno zarciku z panny Sydonii...

— Czy panna Sydonia zleciła panu swoje obronę?
— Obowiązkiem każdego uczciwego mężczyzny jest bronić nieobecnej kobiety, gdy kto jej dobrej sławie ubliża.

— Nie wiedziałem, że pan do tego poczuwać się będzie.

— Jakim sposobem mogłeś to pan suponować?

— Myślałem że pan stoisz razem ze mną na jednej linii.

— Ja stoję na linii gdzie jest prawość i uczciwość.



Chwyćm go za klapę i wrzasnąłem...

— Stoimy więc obok siebie.

— Mnie się zdaje, że przeciw sobie.

— W takim razie jesteś pan w błędzie.

— Czy możesz pan na to dać mi słowo honoru?

— Dzisiaj — mogę panu bez namysłu dać słowo honoru.

— I możesz mi pan podać rękę?

— Życzeniu pana mogę zadośćuczynić.

Tu nastąpiła mała pauza. Prawdopodobnie podawali sobie ręce. Rozmowa ta wzbudziła moje ciekawość.

— Pan zapewne szedłeś do pana Nepomucena? ozwał się znowu jurysta.

— Tak jest, chciałem go odwiedzić. Siedzi biédny jak w więzieniu, odparł Fredzio.

— Więc możemy iść razem, jeżeli pan nic nie masz przeciw temu.

— I owszem, sprawi mi to przyjemność — proszę pana.

Otworzyły się drzwi i obaj weszli do mego pokoiku, jurysta nieco chmurny — Fredzio uśmiechnięty.

Rozmowa w sieni była dla mnie zupełnie niezrozumiała. Nie mogłem domyśleć się o co właściwie im chodziło. Wprawdzie wmieszano do tej rozmowy imię Sydonii, ale więcej nic a nic o niej nie mówiono. Same jakieś zagadkowe wyrazy i zwroty krzyżowały się wzajemnie. Zapewne imię Sydonii musi tu mieć jakieś znaczenie; znaczenie to jednak nie powinno mnie wcale niepokoić. Jurysta jest to człowiek dziwnego nabożeństwa. Że mu się Sydonia podoba, że rad całemi godzinami na nią patrzy, nie widzę w tém nic złego. Na madonnę sykstyńską w Dreźnie jakiś dziwak Anglik podobno przez osiem już lat patrzy codziennie po dwie godziny. Od patrzenia jednak do roszczenia sobie jakiegobądź prawa, jest jeszcze bardzo daleko. Ja sam, gdybym nie miał tak oczywistych dowodów, że jej obojętnym nie jestem, nie mógłbym jeszcze w obec drugich rościć sobie pretensyi do jakiegobądź wyłączności. Zresztą jurysta, mimo wielkiej swojej erudycyi, dosyć jest ograniczony, jak o tém nieraz miałem sposobność się przekonać. Zdaje mu się, że nauka równa ludzi, a ona tymczasem tylko biédnym chleb daje.

Kiedy więc obaj do mnie weszli, podałem im krzesła i cygara i zacząłem mówić o rzeczach obojętnych, udając że ich rozmowy nie słyshałem. Po jakimś czasie potrzeba było koniecznie przejść do tematu, który nas wszystkich najbliżiej obchodził, bo był świeżym faktem, obok nas dokonany.

— I tak straciliśmy pannę Sydonią, zagadnąłem, ucinając obojętnie cygare, szkoda jej!

Widziałem wyraźnie, że przy tych słowach jurysta spojrział na Fredzia. Fredzio właśnie poziwiał w téj chwili. Jurysta pomyślał trochę i rzekł na to:

— Nie tak to łatwą rzeczą stracić podobną kobietę. Wpije się ona w pamięć i w serce, chociażby sam człowiek tego sobie nie życzył.

— Pan traktujesz zaraz tę kwestyę ze stanowiska wyższego, odpowiedziałem na to docinkowo, a ja tak poprostu, jak hreczkosiej, mówię żeśmy pannę Sydonią stracili, to jest że do Lwowa odjechała.

— Różnica zdania pomiędzy panami jest czysto osobista, wtrącił Fredzio. Dla pana jest Sydonia kobietą która tu była i wyjechała, a dla pana Henryka, który dłuższy czas z nią bawił, stała się ona przedmiotem przyzwyczajenia. Gdybyś pan był w położeniu pana Henryka, wysłowiłbyś się może tak samo.

Ucieszyło mnie iż tak doskonale moję rolę odegrałem, że nawet najbliżiej mnie otaczający nic nie widzieli. Sądziłi że Sydonia jest mi tak obojętną, jak każda inna kobiéta. Zostałem więc w téj masce, przypominając sobie rady cici Euzebii. A kiedy myśląc tak sobie, na gości moich spojrziałem, postrzegłem że Fredzio z uwagą na mnie się patrzy. Pocziwy Fredzio! chciał mnie schwytać na gorącym uczynku; chciał wiedzieć, czy się nie zarumienię, lub czy nagle słowom jego nie zaprzeczę... Uśmiechnąłem się i z największą obojętnością odparłem:

— Przyznaję, że przyzwyczajenie się do jakiegobądź osoby może nam sprawić żal, gdy ona nas opuszcza. Sądzę jednak że panna Sydonia należy do rzędu tych kobiet, które więcej niżeli żal przemijający po sobie zostawiają.

— Czy pan to mówisz na jej korzyść? podjął szybko Fredzio.

— Oczywiście na jej korzyść, odpowiedziałem spokojnie.

— Pan Gotfred, ozwał się jurysta, umie nadzwyczaj subtelnie rozróżniać znaczenie słów. Wyrażenie się pana mogłoby bardzo niekorzystnym być dla panny Sydonii, tém bardziej gdyby opierało się na pozorach.

— Uchowaj Boże! krzyknąłem, przypomniawszy sobie napad jurysty na Fredzia w sieni. Uchowaj Boże, nie miałem wcale na myśli obrażać w czémkolwiek panny Sydonii. Prędzej wystąpiłbym w jej obronie.

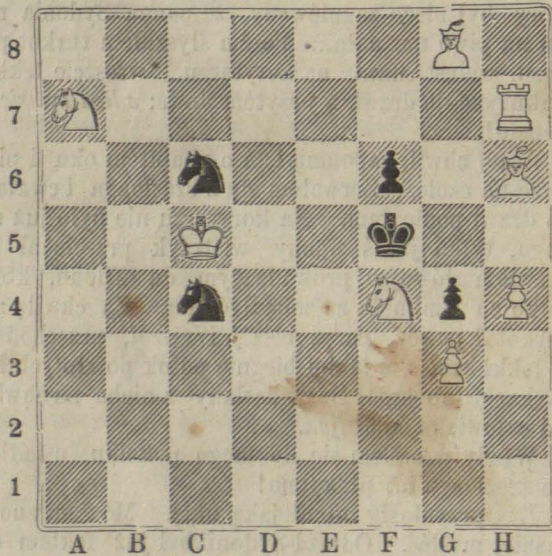
(Ob. dodatek.)

Szachy.

ZADANIE XXXIX.

Białe zaczynają i dają mata za 4-ém posunięciem.

Czarne.



Białe.

Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 38.

Białe.

Czarne.

1) F7—C7 1) C4—C3 + (albo A).

2) C7—C4 2) E5—E4.

3) G4—F5 + 3) B2—E5.

4) F5—F7 + i mat.

1) 1) (A) F1—D3.

5) C7—C4 biorą 2) D3—H7.

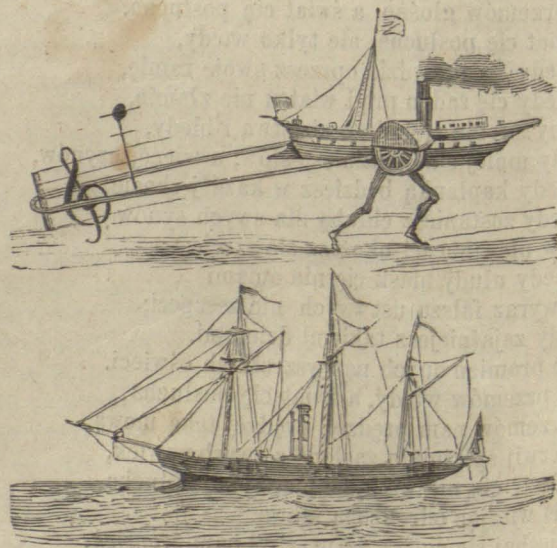
3) C4—C5 + 3) D6—C5 biorą (B).

4) G4—D7 + i mat.

(B) D5—C5 biorą.

4) G4—C4 + i mat.

Rebus.



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 48.

Niezawsze mądrość z wiekiem w parze chodzi.

(Dodatek.)

Widziałem znowu, że Fredzio z uwagą we mnie się wpatrywał. Umoderowałem się więc i obojętnie zapaliłem cygaro.

— Widzisz pan, rzekł po jakimś namyśle jurysta, pan Gotfred słuszną uczynił uwagę. Jeżeli młoda kobieta, zmieniając miejsce, zbyt wiele żalu i smutku za sobą zostawia, jest to zawsze oznaką, że się wszystkim bardzo podobała. Zachodzi więc teraz pytanie, czy ta kobieta *chciała* się wszystkim podobać i używała do tego różnych środków, czy stało się to mimo jej woli i wiedzy.

— Zapewnić mogę, wtrącił Fredzio, że myślałem tylko w ogóle o kobiecie. Na tym stojąc stanowisku, śmiało utrzymuję, że jeżeli kobieta nie chce się komuś podobać, to się i nie podoba. Może być dla wielu piękną, rozumną, dowcipną osobą, ale nie wzbudzi w nikim serdecznych afektów. Na to trzeba już odrębnej broni z kobiecego arsenału, a tej broni nie używa się nigdy mimo woli i wiedzy...

Słowa te Fredzia nadzwyczaj mi się podobały. Niechże jurysta coś tak trafnego powie!.. Już to człowiek niczego nie nabędzie, czego nie dostał przez urodzenie, choćby zjadł wszystkie światła mądrości.

Na te słowa jurysta strasznie się zamyślił. Widać że mu Fredzio zaimponował. Myślał i myślał, kręcił głową to na tę, to na ową stronę i nic mądrego wykręcić nie mógł. Wreszcie rzekł:

— Wyraziłeś się pan nadzwyczaj trafnie. Są kobiety, któreby za ideał Rafaelowi służyć mogły, a przecież ścieżka ich życia jest dosyć pusta. Prócz towarzysza ślubnego i małego grona znajomych, niema tam nikogo więcej. Przeciwnie, są kobiety, które pięknoscą, rozumem, dowcipem daleko niżej stoją, a jednak ciągną za sobą cały tłum wielbicieli i utyskują na to głośno.

— Masz pan słusność, odpowiedziałem. Takich jest bardzo wiele. Mówią zazwyczaj o takiej kobiecie: nie jest ładna, ale *umię* się podobać.

— A więc zawsze działanie to zaczepne, odparł Fredzio i rozśmiał się.

Niejaki czas trwało to milczenie. Fredzio, gdy skończył śmiać się, pogwizdywał sobie jakąś aryjkę, patrząc to na mnie, to na jurystę. Ten ostatni milczał, bo Fredzio zaimponował mu widać trafnością swoich uwag. Martwiło to jurystę, który przewodzić pragnął we wszystkiem. Otóż trafiła kosa na kamień. Znalazł swój swego.

Widząc ten frasunek jurysty, chciał Fredzio zwrócić rozmowę na inny przedmiot, aby i jemu dać sposobność popisania się z rozumem. Wydmuchnąwszy więc kłęb dymu aż na środek pokoju, ozwał się:

— Z tém wszystkiem odstąpiliśmy od naszej rozmowy. Nie umiem sobie wytłumaczyć, jakim sposobem to się stało.

— W samą rzecz, odparłem, wróćmy do panny Sydonii; a przyznam się, że wracam z ochotą.

— Wierzę panu, rzekł jurysta i oczy jego strzeliły ogniem. Do panny Sydonii możnaby z nieba nawet wrócić.

Fredzio zmarszczył brwi, jakby nad czémś chciał z uwagą pomyśleć.

— W samą rzecz, ozwał się po chwili, ta kobieta ma w sobie coś nadzwyczajnego. Można jej nie lubić, można gniewać się na nią, a nawet mieć jej wiele do zarzucenia, a jednak można iść za nią.

Zabłysły ogniem oczy jurysty. Wyprostował się i rzekł:

— Trafnie pan powiedziałeś. Kobieta ta, to istna dla mnie zagadka. Byłem z nią prawie codziennie przez dwa miesiące, a dziś nie umiałbym powiedzieć, jaka jest wewnętrzna istota tej kobiety. Najbliższe podobieństwo przedstawiają mi obrazy w kaleidoskopie. Jest to ładne, zachwyca oko, bawi i porusza różnaitością kształtów i kolorów, a skoro oczy odwrócisz, nie umiesz zdać sobie sprawy z tych kształtów i kolorów któreś widział.

Uśmiechnąłem się na ten frasunek jurysty, bo czém była Sydonia, ja tylko jeden wiedziałem. Dla nich była to tęczą mieniących się kolorów; dla mnie jasne, gwiaździste niebo. Oni bowiem patrzyli na nią okiem obojętnego widza, ja zaś kochałem ją i kochałem... nie bez wzajemności! Mogłem więc skrycie śmiać się z pewną zarozumiałością z tych, którzy nad szaradą lub rebusem głowę sobie ła-

mali, a ja rozwiązanie już przeczytałem. Zawracając na obojętną drogę, zapytałem:

— Czy panna Sydonia długo we Lwowie zabawi?

— To zależy od okoliczności, odparł Fredzio. Jeżeli trafi się jaki konkurent...

— Konkurent? wrzasnąłem, aż jurysta się wzdygnął, konkurent? A na cóż pannie Sydonii konkurenta?

— Bo jest panna i prawdopodobnie chce wyjść za mąż, odpowiedział spokojnie Fredzio.

— Za mąż! za mąż! powtórzyłem dosyć zgryźliwie. Cóż to, czy na wsi nie może tak samo wyjść za mąż?

— W mieście jest większy wybór kawalerów, zresztą i większa sposobność wyszukania sobie męża.

— Sądzę i zaręczam panu, że panna Sydonia tego wcale w myśli nie ma! rzekłem i spojrzałem na rękę meisnerowską, przez którą słyszałem wyraźnie, że Sydonia niechętnie do Lwowa odjeżdżała.

— A pocóżby do Lwowa na karnawał jechała? zapytał Fredzio.

— Aby się bawić, rozerwać, być w teatrze, na koncercie, słowem, aby umysł czémś odświeżyć i pożywić.

Fredzio rozśmiał się na całe gardło, wstał z krzesła i wyciągając się, zawołał:

— Pan masz zbyt idylliczne wyobrażenie o pannach. Jeżeli panna jedzie na karnawał do stolicy, to ręczę panu, że na to tylko, aby gdzieś na balu, raucie lub wieczorku męża sobie wyszukać. W tym celu tańczy i śpiewa, gra na fortepianie i deklamuje, bawi się w kotka i sekretarza i kwestuje po kościołach.

Przyznam się cioci, że Fredzio po tych słowach stracił u mnie wiele. Czyż można bowiem coś podobnego utrzymywać, że Sydonia po to do Lwowa z ciotką wyjechała, aby tam złowić męża?... Nie, to bezsens, to wierutne głupstwo! Nigdy podobnego głupstwa nie byłbym się spodziewał po Fredziu!... Gdyby coś podobnego jurysta powiedział, tobym się nie dziwił. Ale Fredziu!...

I nie wiem czy dlatego aby mnie dokuczyć, czy już taka zaraza na głupotę padła dzisiaj między nas, jurysta powstał z krzesła i rzekł wzdychając:

— Bardzo to być może. Sydonia nie znalazła tu nic odpowiedniego dla siebie i pojechała do Lwowa po męża.

Tego było już zanadto. Przyskoczyłem do jurysty, chwyciłem go za kłapę i wrzasnąłem:

— Głupstwa pan mówisz, panie jurysto! Zkąd to wiesz że Sydonia pojechała do Lwowa po męża?

Na to otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł pan Alfons.

Wywiązały się ztąd rzeczy nadzwyczaj ciekawe, które jednak do następnego listu odkładam, bo jestem już i tak tém długim pisaniem strasznie zmęczony.

(Dokończenie piérwszej części nastąpi).

Z dziedziny malarstwa i rzeźby.

(Dokończem).

Kotsisa *Wnętrze chaty*, zaleca się tkliwą ekspresją, zatrzymaną bardzo szczęśliwie o krok tylko od przesady. Na łożu leży kobieta, która tylko co skończyła. Małe dziecię rozpaczliwie czepia się jej piersi, w której wysechł już pokarm wraz z życia źródłem. Tuż obok stoi druga dziewczynka, spłakana aż do opuchnięcia twarzy. Opodal mąż zmarły, siedząc na skrzyni, duma smutno. Pozostał sam, z dwojgiem drobiazgu. Kto mu teraz gospodarstwa w domu dopilnuje, kto się zajmie dziećmi?... Do tego trzeba będzie pochować nieboszczkę, a snadź niebardzo jest za co. Przyjdzie ostatnią krowę sprzedać. Krowa ta, ani wiedząc o co chodzi, ani się troszcząc o cokolwiek, najspokojniej właśnie przeżuwa sobie na piérwszym planie, zwyczajnie jak bydło. Istota ta, najmniej udatna z całego obrazu, gdyby była pilniej wystudowaną, obojętnością swoją o wieleby jeszcze mogła podnieść patetyczność całej sceny. Pominąwszy ten brak, obrazowi zresztą pod względem techniki nic zarzucić nie można. Wnętrze kurnej chaty uchwycone tu z całym bogactwem charakterystyki, umiejętnie wgłębione, oświetlone w samą miarę. Wogóle, jak powiedzieliśmy,

zaleca się ten obraz wielką prawdą, wspartą silnym rozumem.

Wzmianka o tym ostatnim, mimowiednie przynosi nas ku obrazom p. Kostrzewskiego, których już, już o mały włos nie pominiemy milczeniem. Ze względu na stanowisko tego artysty, byłoby to co najmniej brakiem odwagi, w sprawie zaś sztuki więcej niż obojętnością. Bowiem obecne obrazy p. Kostrzewskiego, (jakbądź się one nazywają: *Pożar na Pradze*, *Kuczki* czy *Podwoda*) wistocie z dwóch powodów dają do myślenia. Najprzód przez chęć wyręczenia w tém artyście, a następnie z uwagi na to, jak to dalece powodzenie zdradliwym bywać może w obec poszanowania dla postępu podszeptem. Już to, co prawda, arcydzieła w ciągu kilku godzin stworzyć niepodobna, ale znowu, czyż koniecznie poświęcać na to nie więcej jak godzin kilka? Dajmy na to dzień jeden — no, dwa. Alenienie, niepodobna. Gdyby tylko choć jedna noc przegradała pomysł od wykonania, przyszedłby może piérwszy, ale jesteśmy pewni, nie byłoby drugiego. Mówiono już coś podobnego z okoliczności *Pożaru miasteczka*; ależ tam, przy całym lekceważeniu zasad sztuki, było przynajmniej kilka humorystycznych szczegółów, choć jako tako rzucających proszek św. oczy. W roku przeszłym na wystawę całego świata p. Kostrzewski spróbował posłać *Odpust na wsi*. Odrzucono jego ofiarę, bo co było dobrém dla nas, nie okazało się być wystarczającym dla całego świata. Nauka ta w las nie poszła, bośmy zyskali na tém *Jarmark w miasteczku*, którego by już może nie odrzucono i w Paryżu. Ale cóż dalej? Zapewne postępek jeszcze potężniejszy? Jako żywo, przeciwnie całkiem. Oto dostajemy teraz rzeczy, które doprawdy sam artysta, przy chłodniejszym zastanowieniu, po upływie pewnego czasu, osądzi tak, jak na to zasługują, przyznawszy im wcale podrzędne stanowisko. Przepraszamy, że słów naszych, acz przykrych, cofnąć nie możemy. Uznane bowiem imię jest już obowiązkiem, z którego każdy, przez zyczliwość samę, ma prawo w każdej chwili zażądać rachunku. Są młodzi, którzy się dopiero uczą, nie trzeba ich tedy źle uczyć, prowadząc za sobą na manowce...

Do rodzajowych również obrazów, pomimo całej jego do religijności pretensji, zaliczyć wypadnie i malowidło p. Stefańskiego, oznaczone nazwą *Św. Magdaleny*. Wistocie, równym prawem mogłaby to być Wenus, Kleopatra, Fryne, lub poprostu naga sobie kobieta. Dośćby tu tylko krzyż odjąć, a natomiast zawiesić w powietrzu Amora, do piersi przyczepić żmiję, zamiast złomów pieczary, niewiele z naturą mających wspólnego, symetrycznie portyk grecki uszykować w głębi, lub dodawszy jaszczurkę w trawie, nazwać to wszystko *Nieproszonym gościem*, jak już nawet ktoś i zrobił. Więc co do świętości owej Magdaleny, to niepotrzebnieby z jej przyczyny niepokoić duchy wielkich przodków religijnego kierunku. Pomieniony obraz jest bowiem poprostu piérwszym lepszym modelem. Z takiego, jak wiadomo, przy niejakięj dobrej chęci, da się zrobić wszystko w świecie; gdyż model dziwnie bywa cierpliwy, za tyle i tyle złotych na godzinę. Tylko znowu, czy to z równą łatwością przekonanie podobne wzmówić w widza? Za nic tu podpis na kartce; owszem takowy w podobnej jak ta okoliczności, raczej szkodzi niż pomaga, gdyż mimowoli do sprawdzenia kusi. Z tego powodu, ponieważ tu ani śladu Magdaleny, dajmy na to, że to poprostu naga kobieta, *studjum z natury*. Ale z jakiej natury? Z natury mocno wyjątkowej chyba, gdyż Bogiem a prawdą głowa tej postaci, oraz reszta jej ciała stanowczo z sobą zgodzić się nie dadzą. Snadź tedy dwa tu pozowały modele, jeden od drugiego o jakie lat dziesięć starszy. Pośpieszamy dodać, choć mało na tém zależeć może, że młodszą tu jest głowa; pośpieszamy również, co jest pewnie ważniejsze, przyznać temu obrazowi jedyną jego zaletę: poprawność rysunku. Cóż kiedy ogólnie znowu malowane jest to wszystko ani źle, ani dobrze, co gorzej stokroć, niż gdyby było jedno z dwojga. Do tego nadzwyczajnie skąpa koloryzacja sprawia, że obraz na piérwsze wejrzenie wygląda na malowidło tak zwane *grisaille*, tyle intencja malarza na każdym kroku rozminęła się tu z prawdą i poczuciem piękną.

Z kolei ku portretom przechodząc, po drodze natykamy obraz równie pomysłem jak układem

w połowie przynajmniej, do rodzajowych należącej kompozycji. Chcemy tu mówić o *Portrecie Heleny Modrzejewskiej*, roboty p. Millera. Rzeczywiście bowiem portret podobnie słynny jak ta artystki, już ze względu na osobę którą przedstawia, nietylko do większych wymagań ze strony sztuki, ale i do dłuższego nad chwilowe podobieństwo trwania, słuszne rościć może prawo. Cóż dopiero, jeśli go, jak tu, utworzono w warunkach całkiem odrębnych, nietylko fantastycznymi otoczywszy przybory, ale i do tej fantazyi nastrojoną postać wzorując wedle umówionej prawdy. Tedy istotnie przez pół to tylko portretem nazwać można; gdy bowiem portretu jest zadaniem uogólnić zbiór spostrzeżeń o danej osobie, tu przeciwnie, w całkiem wyjątkowy postąpiono sobie sposób. Bądź jak bądź jednak, czy portretem, czy inaczej rzecz nazwiemy, obraz to w każdym razie, i jako taki, na zasadach ogólnych sztuki sądzonym być może i musi. Otóż z tych zasad wychodząc, przyznać wypadnie, że to jest z wielu względów nieudatne malowidło, nawet kto wie, czy nie najszabsze ze wszystkiego, co dotąd z pracowni p. Millera na jaw wyszło. Nieraz już, przy sposobności, oddano sprawiedliwość niemałym zaletom tego artysty. Sumienny do najwyższego stopnia, posiada trzy rzadkie przymioty zdolne, w skromnej sferze jaką sobie obrał, zastąpić iskrę geniuszu. Przymiotami temi są: niezrównana pracowitość, pilne obliczanie sił własnych i wreszcie rozmyśl dziwnie dojrzały. W obecnym razie nie spotykamy nic z tego trojga. Forsowne szukanie efektu, przy rażących błędach rysunkowych, niesłuchanie pośpieszne modelowanie, krzyczące fałszywe kolorytu, wszystko to stawia ten obraz w najzupełniejszym z prawdą rozbracie. Nie wdając się w szczegóły, bo to zaprowadziłoby nas zadaleko, powiemy tylko, że np. szyja owej postaci jest poprostu niemożliwa. Podobnie włosów jakie jej dano, niema nigdzie w naturze. Karnacja ma odbłaski woskowe, draperye wydają się być z gipsu. Do tego ogólny ton malowidła zimny i twardy, do reszty z tej kompozycji wszelkie życia wypłoszył. A przecież to Ofelia być miała, jeśli już nie Modrzejewska....

Podobnie surowych zarzutów nie zrobimy przynajmniej drugiemu tegoż artysty portretowi, wyobrażającemu *młodą damę* w sukni różowej. Owszem, z przyjemnością wyznamy, że go zaliczyć wypadnie do najlepszych jego robót w tym rodzaju. Jest tu i prawda, i siła tonu, inawet wdzięk niemały. Igdyby jeszcze dokładniej wymodelować ręce...

Już to ręce są w ogóle słabą stroną p. Millera, powiedzielibyśmy że zamało ma do nich przekonania. W tym względzie nie od rzeczy by może postawić za przykład Simmlera. Artysta ten tak głęboko pojmował całe ręki znaczenie! Umiał jej nadawać wdzięczny układ, miłe kształty. Co do tej ostatniej kategorii, nie chcielibyśmy żeby mniemano że tu idzie o ręce kopiowane z antyku, lub dorabiane z fantazyi. Wcale przeciwnie, niech sobie każdy posiada taką, z jaką na świat przyszedł. Zgodnie ze słusznym spostrzeżeniem Lavatera, nawet układ włosów na głowie, nawet sposób noszenia ubrania, nieodłącznym jest od charakterystyki danej osoby. Ale przecież i twarz najbrzydsza stworzona została na obraz i podobieństwo Boskie, i dlatego artysta odtwarzający ją, niekoniecznie winien być fotografem. Od tego powołanie doszukiwania się harmonii i wyprowadzania jej na jaw; bowiem w naturze wszędzie ją znajdziesz i zawsze, choć ukrytą przed gminem. Do ręki wracając, czyż i ona nie bywa poezją? Dość przytoczyć *Mówiące kwiaty* Löfflera. Tam ręce młodej kobiety, nad podziw piękne, hojnie opłacają wszelkie usterki tego malowidła. Zarzuci im kto idealność; ale czyż się i takich nie spotyka w naturze? U kobiet nie jest to rzeczą tak rzadką, a miwiają je nawet mężczyźni. Któż nie widział kiedy choć jednego portretu króla Stanisława? Powiedzą mi na to: czasy były po temu. Ludzie wypieszczali sobie ręce, nie nosili najmniejszego zarostu, kunsztownie trefli włosy, w aksamitach, atlasach, koronkach chodzili jak kobiety. Właśnie to woda na moje koło. Nie dalej jak z rąk owego pokolenia, gdyby innych śladów nie było, nauczyłyby się ducha ich epoki. — Wróćmy do naszego założenia. Zarzuty co do rąk robione p. Millerowi, oparliśmy na braku z jego strony do nich przekonania.

Otóż wcale tu nie o miękkość, nie o idealność kształtów, nie o wypieszczenie rąk idzie, ale poprostu pragnęlibyśmy w nich *wyrazu*. W tym względzie raz jeszcze przypominamy głębokie spostrzeżenie sławnego fizyognomisty, które wczłowieku całym, od stóp do głowy, słowem we wszystkich jego szczegółach, niezmienną właściwość uznało.

O p. Millerze mówiąc, niepodobna przemilczeć akwarelowych studyów tego artysty, od czasu do czasu odnawiających się na wystawie. Była ich już dotąd liczba niemała, słyszeliśmy zaś, że jest więcej nierównie, daleko nawet więcej niż to cośmy oglądali. Podobne w tece bogactw nagromadzenie przynosi zaszczyt artyście, a zarazem bardzo jest świetnym dla młodszego grona wzorem. Zbiór tak wielki, z tak wielu względów cenny, ileż pracy, ileż zamiłowania sztuki przedstawia dowodów. Widzieliśmy w nim niby ścisły rachunek z każdej przepędzonej na nauce chwili, niby rodzaj cierpliwie prowadzonego pamiętnika, w którym *nulla dies sine linea*. Na inném miejscu, postaramy się dokładniejszą zdać z tych studyów sprawę; obecnie wróćmy do naszego przedmiotu.

Kurelli *Portret młodego mężczyzny* (jeśli się nie mylimy, malarza Maleckiego), jest utworem dobrej, zdrowej szkoły. Piérwsza to w tym rodzaju robota tego artysty i odrazu zaszczyt mu przynosząca. Modelowanie tu wielce trafne, traktowanie pewne, szerokie. Obraz ten uderza na piérwsze spojrzenie. Bez wątpienia dużo w nim wpływu wielkich w tym rodzaju mistrzów, których pewnie artysta studjuje na obczyźnie; ale któżby mu z tego zarzut robił? Owszem, nie inna jest droga wyróżnienia się z tłumem, jak unikanie przedczesnego zaufania własnym siłom. Artysta ten, postępujący nieustannie i tyle już zkadinał samodzielny, pewni jesteśmy, że i w tym kierunku niebawem sam sobie wystarczy.

Z kolei przejśćby czas do krajobrazów; gdy jednakże przedmiotowi temu osobne radziłybyśmy poświęcić sprawozdanie, tedy mimochodem tylko zatrzymamy się przy jednym z ostatnich obrazów p. Szuppego, przedstawiającym, jak zwykle, *Krajobraz karpacki*. Od chaty stojącej na urwisku, dzieciaki wiejskie swawoląc zsuwają się na gałęzi po strömiej pochyłości. Krajobraz przeszyty z ukosa ciepłym światłem zachodzącego słońca, przy całej swojej dzikości, ma pewien urok miejscowy, któryby nawet wdziękiem nazwać można. Światło nadzwyczaj prawdziwe, zdaje się być pomieszane z wzywaniami wstającymi z dolin. Łagodnie ono jakieś i wskrós przenikające tęsknotą, pośród której dziecinna owa wesołość mimowolnie do zadumy skłania. Toż i tu, na tych bezdrożach, szczęście mieszkać może. Cemu nie? raczej może tu, niż gdzieindziej, tak blisko nieba, tak daleko od świata! Gdyby orłem był!... W dali wywijają się mgły z moczarów, a jeszcze dalej i coraz dalej, szczyty po za szczytami, aż do tych topniejących już w przestrzeni, na których zdają się spoczywać nieba zgręby. Stopniowanie wielce tu kunsztowne, przednie plany pełne prawdy. Ogólne wrażenie więcej z tego krajobrazu, mile usposabia duszę. Forma tu bowiem nic a nic nie krzykliwa, owszem prosta, spokojna, dosadnie wypowiada pogodne usposobienie, w jakim myśl się jej zrodziła.

Przedstawiwszy choć jeden przykład jak się to krajobrazy malować powinny, pokażmy teraz jak ich malować nie należy. Oto robota p. Gierymskiego, nosząca nazwę: *Krajobraz w południe*, za cenę niepomiernej rubli srebrem stu. Z tej ostatniej okoliczności nie od rzeczy byłoby powiedzieć słów parę o dziwnym w ogóle przecenianiu obrazów produkowanych na wystawie, ale o tém inną razą. Jakież to tedy jest owo południe? W jakiejże się ono porze roku odbywa, lub przynajmniej pod jaką strefą? Cóż znaczą te kłaki w powietrzu i te pakuły na dole? kłaki są to obłoki, kłęby pakuł wyobrażają drzewa. Niedawnemi czasy widywaliśmy w podobnym rodzaju akwarele Szermentowskiego. Były to osobliwsze i wcale niewiele zachodu kosztujące improwizacje. Poprostu, na chybił trafił, chlapnięto na papier pędzlem umaczanym w zieleni, przypadkiem zrobiło się z tego kapuściane drzewo; tymże niewypłukanym jeszcze pędzlem, umaczawszy go w czerwieni lub niebieszczyźnie, robiło się niebo lub skały, i oto gotowe arcydzieło, z podpisem: *Widok z okolic Pireneów*, za cenę rubli sr-

brem sześćdziesięciu. Do góry nogami wzięwszy, mogło to być trzęsienie przerażonej strachem ziemi, bokiem znowu rozwaliny łaszy z Młynarza i Kominarza, lub coś podobnego; w ogóle nie zakreślano tam granic bujnej fantazyi pojętego widza. Nie wiemy czy kto ponabywał owe trafunkowe Pireneje, ale widzieliśmy z przerażeniem, że stworzyły szkołę. Doprawdy, jest to więcej niż lekceważenie. Nie ujmuje talentu równie mistrzowi jak uczniowi. Szermentowski rehabilitował się niejednokrotnie, i jak bądź nie rozwinął wszystkich zasobów swego uzdolnienia, to przecież zajął już w sztuce jakie takie stanowisko. P. Gierymski produkował dotąd dość przyjemne fantazyje, wprawdzie niewiele podobne do natury, ale zwiastujące przynajmniej iskrę Bożego tchnienia. Obecnie wyjechał za granicę kształcić się; czyż w tym jego obrazie mamy widzieć dowód postępu? Bezwątpienia znajdzie się i tu kilka niezłych szczegółów, ale te siedzą cicho, a choćby je i zastąpić w gadaniu, to ani sposobu przekrzyczyć tę pędzlową butę, która się tu wszere i wzdłuż płótna rozjechała tak zamazyscie. Doprawdy, u nas chyba, w skromnej Warszawie, nie znajdzie do tego wzoru. Nie dostarczą go ani Breslauer, ani Szuppe, ani Marszewski, ani nawet żaden z młodszego grona cichych, sumiennych, szukających prawdy pracowników. W takim razie, może lepiej było zostać z nami....

Z perspektywicznych malowideł obecnie na wystawie mamy tylko jedno, ale jakże piękne! Każdy zgadnie, że tu mowa o *Wnętrzu kaplicy Stefana Batoryego* w katedrze krakowskiej. Gryglewski z Marcinem Zaleskim, to największe dziś nasze na tém polu znakomitości. Z porównania ich dzieł, wszelkie inne cechy odjąwszy, dałaby się niemal wyrozumieć między nimi różnica co do lat wieku. Zaleski posiada mozolnie nagromadzone wiedzy skarby; Gryglewski niejako magią jej przeczuca. Tam podziwiasz głęboką naukę, dojrzałość doświadczenia — tu cię porywa zapal młodzieńczy. Tam może talentu mniej, tu zato nietylko wystającego spokoju.

Pomieniony obraz przedstawia wnętrze kaplicy od strony przeciwnej grobowcowi. W głębi widać krużganek wsparty na trzech arkadach z czarnego marmuru. Oświetlenie dziwnie się tu krzyżuje tam i nazad.

Zdaje się że jest od strony widza okno umieszczone na wzniesieniu i skutkiem tego niezbyt hojnej dostarczające światłości. Zato żywiej już nierównie, bo przez kratę stanowiącą połączenie z nawą, napływa jasność dzienna, tą razą już ku widzowi, gdzie, jak się zdaje, podobnie przyjęta przez marmur czarny, z tamtąd znowu na plan tylny bladawe rzuca odbłaski. W tym też punkcie przypada i ognisko obrazu; byłoby więc do życzenia, żeby je na wysokości oka mieć można; przy takim bowiem jak dziś nazbyt niskim pomieszczeniu malowidła, niejedna perspektywiczna jego ułuda lub się rozpierzcha, lub całkiem ginie. Doprawdy, obraz ten wart jest honorowego, choćby nawet kosztem drugich, miejsca. Błąka się tu powietrze chłodne, przeświecane skąpymi błyski, pośród tych gładkich zewsząd, polorownych powierzchni. Marmury są niezaprzeczenie specjalnością Gryglewskiego. Marmury te żyją. Zdajesię, że gdyby tchnąć na nie, osiadłaby para skroplona, jak to bywa w naturze. Marmur ten, czy za posadzkę służący, czy w grobowiec wkleśnięty, czy zatoczony w sklepienie, czarny, czerwony, czy żyłowany, w tysiączny sposób grą światła urozmaicony, pociemniały, wilgotny, zawsze jest u niego prawdziwy, dotykalny, niezrównany. Swoją drogę na obrazie tym znajdują się piérwszorządne perspektywiczne piękności, które wyliczać byłoby zbyt cennym. Głębie zapadają, stopniując się z całą magią tonów, przednie plany zdają się z ram wychodzić. W tym względzie naprzykład ławka z lewego boku jest w swoim rodzaju arcydziełem; podobnie brzozy u przeciwnej ścianie i znajdujące się pod nimi stalle. Słowem, jest to jeden z tych obrazów, którego całą wartość oceni nawet prostaczek.

(Dokończenie nastąpi.)

UROCZA,

POWIEŚĆ

przez T. T. Jeża.

(Dalszy ciąg).

— O jaką skrzynię?... zapytał.

— O tę co stoi pod łóżkiem.

— Sza!... -- wyciągając rękę zawołał najstarszy zięć nieboszczyka Icka i zaczął coś mówić, lecz mu przerwał najmłodszy syn, a temu ostatniemu najstarszy syn, a temu znów najmłodsza synowa i t. d.

Rabin słuchał, spuściwszy głowę, słuchał, a wrzawa rosła, wzmagala się, potężniała, jak zbliżająca się zdaleka burza.

Dzieci pomagały ojcom i matkom.

Rabin słuchał, nic nie zrozumiał i zmuszony został znów do Chai się odwołać:

— Cóż to za skrzynia?..

— Z niezliczonymi skarbami...

— A!.. — rzekł rabin. Więc chodzi wam o to, aby te skarby rozdzielić po sprawiedliwości...

— Ja mam dzieci dwanaścioro!.. ja dziesięcioro!.. ja ośmioro!...—wołali z tłumu synowie i zięciowie, synowe i córki nieboszczyka, a ci i te którzy nie mogli licznym pochwalić się potomstwem, odwoływali się do prawa, do sprawiedliwości, do tego nakoniec, że jeżeli dużo dzieci nie mają dziś, to mieć będą za lat kilka.

— Sza!..—zawołał rabin głośniejszym głosem niż przedtem. Nie macie się o co sprzeczać... Nieboszczyk Icko, jako człowiek sprawiedliwy, mądry i przewidujący, przewidział i to, że się po jego śmierci pokłócicie i dlatego napisał testament, który złożył w kahale i zapieczętował, ażeby nikt nie wiedział, co stoi napisane we środku, a na wiérzchu napisał, ażeby testamentu tego nie otwierać, aż się pokłócicie...

— Herste?...—chóralnie słysząc się dało w tłumie.

Rabin ciągnął dalej:

— Ot i rzecz skończona... Niema o czém gadać... Testament wszystko powie.

Uciszyło się, jakby makiem zasiał. Rabin wezwał starszych kahalnych, którzy wraz z tłumem ciekawych czekali przed domostwem, i przystąpił do otworzenia i odczytania testamentu.

Że nieboszczyk Icko był człowiekiem bardzo mądrym, o tém wszyscy wiedzieli; mimo to testament wzbudził podziw, tak był rozumnie napisany. Nieboszczyk we wstępie tłumaczył powód, dla którego nie chciał aby wola jego objawioną była przedtem, nim się jego dzieci pokłóca.

— „Pragnę—pisał—i proszę Boga o to, aby dzieci moje i dzieci moich dzieci, żyły pomiędzy sobą w zgodzie. Pragnę i proszę Boga o to, aby żyły razem, dzieląc wspólnie złą i dobrą dolę, i jeżeli Bóg mnie wysłucha, to dusza moja uraduje się wielką radością na łonie Abrahama. Ale niczego im nie polecam i nie nakazuję. Nakazana zgoda, nie zgoda jest, ale niewola. Niechcę dzieci moich i dzieci moich dzieci trzymać z za grobu w niewoli. Jeżeli mogą żyć razem, będą żyły razem bez mego polecenia i nakazu; jeżeli nie mogą, niech się rozejdą, każde w swoją stronę, i w takim razie niech pomiędzy siebie rozdziela cały mój

ruchomy i nieruchomy majątek. W takim tylko razie testament mój jest dla nich potrzebny, ażeby moja wola stanęła pośród nich i powiedziała każdemu: to twoje, a to twoje—i zapobiegła temu, ażeby jedno drugiemu nie zazdrościło, jedno do drugiego żalu w sercu nie żywiło. Niech ten co się będzie czuł pokrzywdzonym, cały swój żal zwróci na mnie, niech ma pretensją do ojcowskich popiołów“...

Ostatnie te wyrazy rabin uroczystym przeczytał tonem, od którego po słuchaczach dreszcz przeszedł.

W testamencie następował potem inwentarz ruchomości, wyszczególniający sprzęty, miski talérze, beczki, lichtarze, łyżki, flaszki, kieliszki, słowem wszystko, co się przez lat kilkadziesiąt zebrało w zakresie żydowskiego gospodarstwa. Nie zapomniał, rozumie się, o krowach i kozach. Przy końcu zaś wymienił skrzynię pod łóżkiem, a w tej skrzyni brylantowy naczołek i zausznice Ickowój, która Icka o kilka lat na okopisko wyprzedziła, perłami szyte cycele, złoty mały kubek, kilka srebrnych łyżek, kilkanaście takichże łyżeczek, trochę drobiazgów z kamykami pomniejszej wartości i tysiąc, równo tysiąc, rubli brzęczącej gotowej monety. Cała przeto wartość owych niezliczonych skarbów wynosić mogła mniej więcej tysiąc pięćset rubli.

Nieboszczyka wolało było, aby cały jego ruchomy i nieruchomy majątek został sprzedany i aby dzieci obdzielone były gotowem piędzmi, i to w następujący sposób. Synom i córkom mającym więcej nad dziesięcioro dzieci, przeznaczał dwa razy tyle, co synom i córkom mającym mniej niż troje; tym zaś którzy mieli mniej niż dziewięcioro, a więcej niż troje, przeznaczał średnią proporcjonalną, to jest połowę tego, co przypadało pierwszym, dodaną do połowy tego co przypadało drugim. Tym zaś co dzieci nie mieli, nie poprzeczował nic.

Słuchacze, którzy z wyczerpaną uwagą każdy wyraz testamentu uchełłowili, gdy do tego ostatniego punktu przyszło, jednym głosem krzyknęli:

— Chaja!..

Jedna Chaja, jako za mąż nie wydana, znajdowała się w tém położeniu, że dzieci nie miała.

Wszyscy spojrzeli na dziewczynę, która oczy spuściła i oblała się rumieńcem; ale najpilniej spojrzeli na nią młody jeden Żyd, nazwiskiem Boruch.

Rabin czytał dalej.

Następowało rozporządzenie, dotyczące się sprzedaży majątku. Domostwo i wszystkie w inwentarzu wyszczególnione ruchomości mogły być sprzedane nie komu innemu, tylko temu, kogo sobie Chaja za męża wybierze.

— Ufff!..—rozległo się w interesowanej części słuchaczy.

Rozporządzenie to wydało się dziwactwem; bo jeżeliby Chaja wybrała sobie męża takiego, któryby nie był w stanie wypłacić gotówką około tysiąca rubli, to podział majątku byłby niemożliwym. W dziwactwie tém jednakże przebijała się troskliwość ojca o najmłodsze dziecko, zostające na łasce sióstr i braci, mających obowiązki dla własnych dzieci. Gdyby był Chai wyznaczył udział w spadku, cóżby się jój tam dostało?... Nie wyznaczając zaś nic, a stawiając taki warunek sprzedaży, interesował wszystkie siostry i wszystkich braci, aby wyszła za mąż, i to jaknajlepiej: i bogato, i bez przymusu ze strony interesowanych.

Egzekutorami testamentu naznaczeni byli rabin i starsi kahalni.

Po odczytaniu nastąpiła cisza, która chwilę tylko trwała. Zastąpił ją szmer rozmów, pośród którego do rabina przystąpił Boruch i coś mu do ucha szeptał. Rabin wyciągnął szyję i pilnie słuchał. Wyrazy które w ucho jego wpłynęły, były następujące:

— Rebe Sru!.. zróbcie no detaksacją majątku pozostałego po Ieku... Może ja się namyślę i kupię...

A rabin mu na to:

— Wolą nieboszczyka Icka jest, że ten tylko może kupić majątek, kogo Chaja sobie na męża wybierze...

A Boruch mu na to:

— Może ona wybierze mnie.

Rabin pomyślał i odpowiedział:

— Nu, taksa zawysoką nie będzie, bo gdyby była taką, to ta biedna dziewczyna nigdy by za mąż nie poszła...

— Tylko rebe Sru!.. śpieszcie się, bo mam do Brodów transport skórek zajęczych, które u mnie fabryki zagraniczne zamówiły.... Jak się z tém załatwię, chciałbym się natychmiast ożenić, a przedtem chciałbym wiedzieć jaki mam kapitał przygotować, ażeby domostwo i sprzęty od razu zapłacić... Dlatego bardzo was proszę, żebyście się z detaksacją pośpieszyli...

Rabin odpowiedział:

— Zaraz... zaraz...

Znacie żydowskie „zaraz.“ Boruch pojechał i wrócił, i jeszcze do detaksacyi nie przyszło, pomimo że, nim pojechał, Chaja wszem w obec i każdemu z rodziny swojej z osobna wyraźnie oświadczyła, że na męża wybiera sobie Borucha, handlarza skórkami zajęczymi.

A ten Boruch, jest to jeden z tych dwóch Żydów, o których była przypowieść.

Powrócił i jak się przyczepił do rabina i kahalnych, to się od nich nie odczepił, aż detaksacją zrobili. Wypłacił co do grosza spadkobiercom, którzy zabrawszy pieniądze, w różne światła rozeszli się strony. W opróżnionem domostwie zamieszkał Boruch z żoną—i, snadź to domostwo na szczęśliwem miejscu zbudowane było, bo Boruchowi od razu zaczęło się wieść w niem, jak onego czasu Ickowi, a nawet lepiej, bo sypały się mu w mniejszej ilości dzieci, a zato w większej piędzde. To ostatnie przypisać należy obrotności Borucha. Pod tym względem przewyższał on nieboszczyka, i niedziw—wyuczył on się w szkole niepowodzeń.

III.

Stepowa karczemka.

Może kto z domyślnych czytelników przypuszcza, że Boruch jest owym poszukiwanym przezemnie bohaterem. Jako żywo—nie. Kiedym był zmęczony poszukiwaniem i już, już miałem opuścić stepy ukraińskie, postać jego ukazała się mi, zaświeciła jako wzór wytrwałości i, że tak powiem, za poję przytrzymała na stepach, szepejąc do mego autorskiego ucha:

— Szukaj, a znajdziesz...

Przypomniałem sobie tedy przysłowie: „kiedy bięda, to do Żyda,“ i odpowiedziałem na to podszeptanie:

— Boruchu, chyba ty poprowadzisz mnie przez manowce...

I stało mi się jak temu chłopowi, o którym podanie niesie, że „przemówił do obrazu, a obraz do niego ani razu.“ Postać Borucha,

powiedziawszy „szukaj a znajdziesz,” zamknęła się w absolutnym milczeniu. Zrozumiałem tylko, że ze stepów schodzić mi nie wypada. Powróciłem więc na nią, lecz znalazłem głuchą ciszę, która zapanowała na tych miejscach, gdzie brzmiały okrzyki, gdzie dudnił tętent kopyt końskich; znalazłem, według słów poety:

„...ciche, puste pola,—znikli już rycerze,
A jakby sercu brakli, żal za nimi bierze.”

Lekki wiatr pociągał po płaszczyznach, niosąc z sobą przymrozek, od którego szczególnym blaskiem iskrzyło się schylone ku zachodowi słońce i naginając badyle zeschniętych traw i ziół, które wydawały cichy szelest, podobny do metalicznego chrzęstu.

Wsluchując się w ten chrzęst, cóż dziwnego że poetyczna wyobraźnia ludu nastraja się na nutę dum rycerskich!... cóż dziwnego, że odtwarza wspomnienia, zagrzebane w mogiłach, wydobywając je z nich w pełni blasku i życia!... I mnie cóż podobnego spotkało. Szelest badylów wydał mi się echem chrzęstu zbroi, przyrosłem do stepowych traw i poczęłem przypominać sobie różne podania, powieści i pieśni, niemające najmniejszego z niniejszą powieścią związku.

Myślałem już, że boruchowe „szukaj a znajdziesz” zwiodło mnie i z tropu zbiło. Zgubiłem wątek. Lecz że nastreczył się wątek inny, pełen uroków, więc niebardzo żałując zgubionego, wałęsałem się jak mara po głuchych stepach; wsluchiwałem się w szelest badylów, przysłuchując się, ażali nie brzęknie zakłęta lira, o której w pierwszym rozdziale niniejszej powieści wspomniałem; nizałem wspomnienia o dalekiej przeszłości na fantastyczną nitkę, jak dziewczyna wiejska niże na sznur korale; pochylałem to jedno, to drugie ucho ku ziemi, badając grunt wzrokiem i... na trawie dopatrzyłem stratowania.

— Tatarski szlak!...—krzyknąłem w zachwyceniu...

Byłem piechotą, zwyczajnie jak chudy literat, niemający za co kazać się wozic. Wyobraźnia w lot porwała mnie z ziemi, posadziła na koń, dała w rękę długą spisę i pchnęła naprzód, mniemanym tatarskim szlakiem. Puściłem się śladem połamanych ziół i traw. Nie zaręczę, czym nie hasał jak studencik, nie myśląc wcale o tém, że popełniam anachronizm, wołający na mnie głosem teraźniejszości:

— Waryacie!... opamiętaj się!...

Wołanie nie przydało się na nic. Pośpieszałem tatarskim szlakiem. Ten z razu szedł długo stepem i wyszedł na drogę prowadzącą do Kobylanki, a przez Kobylankę do Bruzdowic, Rohatyna i różnych wsi i miasteczek, wieńczących podnóże płaskowzgórza, o którym była mowa w poprzednim rozdziale.

Na drodze grubą warstwą leżała kurzawa, którą wiatr przesypywał, podnosząc ją z ziemi w powietrze i rozsiwając po polach. Ślady więc które do drogi prowadziły, na drodze nikły. Nie sposób było rozpoznać, w którą jeździec udali się stronę: czy, dojechawszy do szlaków w kierunku prostopadłym, wzięli się w prawo, czy też w lewo. Pójść w kierunku przeciwnym, znaczyło rozstać się z nimi na wiek wieków—co gorzej—znaczyło stracić bohaterą, którego się przez ciąg kilkunastu kartek tropiło.

Byłoby to prawdziwe nieszczęście dla autora. Perspektywa tego nieszczęścia zatrwożyła mocno moją wyobraźnię. Znalazła się ona nagle w położeniu kuropatwy, tuląc się do krzaczka koniczyny i spoglądając w górę na krążącego w powietrzu jastrzębia. Jeżeli jastrząb dopatrzy ją i spadnie—po niej!... Rolę krążącego w powietrzu jastrzębia, względem mojej autorskiej wyobraźni, grał obłęd. Jeżeli dopatrzy ją i spadnie i wzięwszy za rękę, poprowadzi Bóg wie gdzie—po niej!... Trzeba przekreślić wszystko co się napisało i zaczynać rzecz ab ovo.

Lecz na szlakach które przez ukraińskie idą stepy, nie jest tak pusto, jak się komu zdaje. Step niemy, ale w potrzebie można się z nim rozmówić, zwłaszcza jeżeli się posiada tajemnicę wpatrywania się weń i wsluchiwanie w jego tony. Jest nad stepem niebo, a nad niebem gwiazdy, pokazujące w której stronie północ, w której południe, znaczące wyraźnie wschód i zachód. Lecz dla mnie ta droga nie zdawała się na nic, bo dążyłem do celu który posuwał się, umykał w niewiadomym kierunku. Kurzawa ślady na drodze przysypała.

Rób co chcesz!...

Nieopodal od tego miejsca, na którym jeździec ze stepu na drogę wyjechali, stał krzyż. Na krzyżu siedział zadumany sokół. Ten sokół wiedział o wszystkim i byłby mi wszystko powiedział, gdybym był poetą. Sokoły rozmawiają ze stepowemi bojanami; rozkochanym dziewczętom wyrazy pieśni podpowiadają; lirnikom do strojenia lir pomagają; lecz od powieściopisarzy stronią. Zbliżyłem się ostrożnie—odleciał. Westchnąłem—pierwszy raz w życiu żałując, że ani poetą, ani rozkochaną dziewczyną, ani lirnikiem. Wróżbita z lotu jego byłby się może czego domyślił. Niestety! i wróżyć nie umiem. Jednakże doszedłszy do krzyża, pociągnąłem dalej w tym samym kierunku i od krzyża zaszedłem do karczmy.

Wyliczając cechy stepowe, zapomniałem wymienić karczemki, owe prototypy oberż i hotelów, odgrywających taką ważną w ucivilizowanym mieście rolę. Gwiazdy, mogiły, krzyże i karczemki, są to niby posterunki wystawione przeciwko obłędowi. Kto nie umiejąc ze stepową rozmówić się przyrodą, potrzebuje koniecznie dostać języka, ten niech się tylko drogi trzyma, a ta go zaprowadzi od karczemki do karczemki, gdzie dostanie języka, jeżeli natura udzieliła mu zdolności wkradania się w ludzkie zaufanie. Jest to warunek konieczny. Bez tego w karczemce znajdzie się tylko gorzałkę. W gorzałce choć się kąp; lecz nie pytaj o nic innego. Karczmarz i karczmarka, jeżeliś nie potrafił pozyskać ich zaufania, są głusi i ślepi—nie istniejesz dla nich w innej postaci, tylko w postaci człowieka wychylającego czarę po czarce i płacącego za nie gotówką. Innego nad ten interesu nie mają oni do ciebie, i od ciebie wzajem niczego innego nie żądają.

Karczemka przy drodze na ukraińskich stepach, ma zaletę oryginalności. Stanowi ona sama w sobie obrazek, mogący nie powstydzic się flamandzkich, a uderzający szczególnie dwiema własnościami: nagością i tłem. Stoi ona sama jedna, bez płotu, który oznacza zagrodę, bez drzewa w pobliżu, któreby na nią cień rzucało, bez żadnego dodatkowego zabudowania. Samotność jej ma w sobie coś... rozrzucającego, coś co przywołuje na myśl sierotę i wygnanie. Czyż bowiem nie jest ona

sierotą? Dość na nią okiem rzucić. Gdyby nie była sierotą, nie byłaby tak pozbawioną wszelkich ozdób, znamionujących macierzyńską troskliwość: byłaby obieloną, umytą, miałyby dach naprawiony, okienka oszlone; miałyby zamiast żółtych i błotnych plam, pstrzących ją dokoła, fioletowy szlak u spodu i szeregi wianuszków pod strzechą; miałyby przyzbę z przodu i grządki z kwiatkami z tyłu. Czyż nie jest ona wygnanką, sama jedna w stepie, zdala od wsi i miasteczka? Jej wygnańczy charakter tak dalece nawet jest przez opinią publiczną uznany, że połowa tego rodzaju karczemek nosi nazwę Wygnanek.

Zwieźli ludzie przed laty trochę materiałów, obciosali i złożyli za pańszczyznę; wyszły baby i za pańszczyznę ściany oblepiły; samouczek mularz piec postawił; samouczek stolarz drzwi i okna pozawieszał i poprzybił; następnie przywieziono kilka fur słomy, którą na dachu natrzęsiono i dla większej pewności żerdkami z wierzchu przymocowano—i stanęło nie pomieszkanie, ale przynęta dla ludzi. Step służy mu jako tło szerokie, mieniące się kolorytem. Inaczej karczemka odbija od niego rano, inaczej wieczorem, inaczej w pogodę, a inaczej w dzień słotny. Kiedy na stepie wesoło, kiedy na tych jak morze rozległych płaszczyznach czuć tętno życia, wówczas wygląda ona niby *memento mori*, upostaciowane w kształcie zgarbionej, obdartej, zestarzałej strzechy pokrytej chałupy; kiedy na stepie smutno, martwo, wówczas przybiera ona minę portu, do którego zawinięcie niesie ratunek.

Do takiej karczemki prowadzę czytelnika. Nieopodal od miejsca w którym myśliwi wyjechali na drogę, stał krzyż drewniany, umalowany słońcem i słotami na szaro. Niegdyś on był biały; lecz Bóg wie kiedy to było. Słońce i niepogody obdarły go z sukienki, w którą był ustrojony gdy wyszedł z rąk cieśli, i od lat wielu stoi jednakowo szary, wysoki, wyciągając ramiona nad drogą, jakby błogosławił ziemi i ludziom co mimo niego idą...

Nieopodal od krzyża stoi karczemka, zwana Wygnanką. Stoi sama jak palec, bez zagrody, bez obejścia, nawet bez przyzby, obdarta, obłocna, brudna, istna wygnanka, którą się ludzie nie opiekują, która sama o siebie nie dba. Wielki ostrzeszek nasunął się nad nią tak, że słońce tylko od spodu złoci jej ściany. Na wysokość okien nigdy nie sięga, a zatem i do środka nigdy nie zagląda. Gdyby jednakże i sięgało, to środek niewieleby na tém skorzystał, bo w czterech oknach była jedna tylko szyba szklana, reszta łubem zabita. Łub przecież więcej dawał światła aniżeli szkło, były w nim bowiem szpary; szkło zaś pokryło się powłoką, która je uczyniła nieprzejrzystym. Wewnątrz przeto panował ciągły zmrok, który się to powiększał, to zmniejszał.

Wnętrze karczemki rozdzielone było na dwie nierówne części. Z tych pierwsza stanowiła sień, druga izbę szynkową. Sień, przegrodzona na połowę płotem, zawierała w głębi komórkę na cielęta i przed płotem miała tyle tylko miejsca, ile potrzeba było na wygodne otworzenie drzwi od podwórza, zamykających się ze środka. Wchodząc do niej, trzeba było przestąpić wysoki próg. Taki sam próg prowadził do izby, dość obszerną, ale ogołoconą ze wszystkiego, co nosi miano piękna lub wygody.

(Dalszy ciąg nastąpi).